Nr. 5. Rok II.

TYGODNIK WIELKOPOLSKI.

Czasopismo naukowe, literackie i artystyczne

wychodzi w Poznaniu co Sobotę.

Poznań dnia 3 Lutego 1872.

Przedpłata ćwierćroczna wynosi 1 tal. czyli 1 złr. 50 cent. w. a. — Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych i w księgarniach.

PODOBNY ŚWIAT.

(Marka Wowczka „Opowieści ludowe“).

Studjum literackie

Jana Grzegorzewskiego.

(Ciąg dalszy)

Tu niejeden z czytelników ironicznie się gotów uśmiechnąć na jedną wzmiankę o ideale: postać ludowa żyje ideałem?! zawoła, — to gotowiście nam daléj całe masy bezwiedne okryć płaszczem sentymentalizmu i przekonywać, że to są istoty żyjące. Rozstrzygnięcie téj kwestji, rozstrzygnięcie możności istnienia, nietylko wszelkich innych — idealnych i nieidealnych — ale nawet sentymentalnych typów w ludzie pozostawiamy całemu charakterowi opowieści Marka Wowczka, jak i dalszym naszym własnym wywodom. Obecnie zaś nie od rzeczy byłoby przypomnieć, że wyraz ideał nie ogranicza się tém ciasném i ograniczoném pojęciem, jakie mu pewni ludzie nadają: pojęciem marzenia, mrzonki. Niewyłączając i tego, mieści on daleko rozleglejsze: obraz życia nie takiego, jakiém ono jest dziś, a takiego jakiém może, albo powinno być jutro. Obraz taki zawsze powstaje na tle życia dzisiejszego, to rzecz naturalna, lecz powstać może tylko w chwili niezadowolenia z dnia dzisiejszego. Ideały powstają w duszy tych, którzy teraźniejszością zadowolnić się albo nie chcą, albo nie mogą. Pytanie tedy — czy lud w ogóle zadawalnia się albo zadawalniał się obecnym stanem swoim? Jeśli nie — co wątpieniu nawet uledz nie może, to tworzenie się ideałów bardzo jest możliwém u niego. Powie kto, że on się niezadawalniał stanem swoim ekonomicznym, lecz sfera uczucia była zupełnie dla niego wystarczającą; ideały więc jego mogły powstawać li tylko w sferze ekonomicznéj. Gdyby nawet tak było, z czém się wcale zgodzić nie można, to przecież możemy przypuścić, że skoro sfera ekonomiczna, którą w chwili danéj lud się ogranicza, choć cokolwiek się rozszerzy i pozwoli swobodniéj mu odetchnąć, natychmiast sfery moralne, niech one nawet będą z początku najprostsze i kształtów pierwotnych, nieomieszkają otoczyć istoty jego. W takim wypadku był właśnie i Semen Palij: miał on na tyle byt zabezpieczony, że troszczyć się nie potrzebował o ten kawałek chleba, który mu jutro zjeść wypadnie. Należy wreszcie porachować coś i na karb wrodzonych usposobień indywidualnych, na karb temperamentu. Ideały mają to do siebie, że droga i sposób, jakim one się tworzą, zależne są wielce jak z jednéj strony od gruntu uprzednio dla nich przygotowanego, tak z drugiéj od jednostki, w którą bezpośrednio siebie wcielają. W ogóle snadniejszy wstęp dla nich bywa przy jednych temperamentach, niż przy drugich. Grunt uprzednio dla nich przygotowany, przy tych warunkach, przy jakich w ogóle życie ludu upływa, może nie jest zupełnie sprzyjającym — lecz za to natury takie jak Semen łacno je w siebie wsiąkają; a raz wsiąknąwszy i uczyniwszy im przystęp rozleglejszy do duszy swojéj, rozwijają je później trybem i skalą właściwą ich indywidualnym własnościom i warunkom. Ztąd téż i rozmaitość ideałów. U jednych niezadowolenie z chwili bieżącéj wytwarza ideały bardzo mało odbiegające od potrzeb życia codziennego: małe ulepszenia, trocha odmienne otoczenie, w jakiém się zawsze znajdują — ot i wszystko co dla nich wystarcza. Tacy ludzie rachują się z faktami istniejącymi, lecz życzyliby pewnéj zmiany w ich kombinacji. Jest ich najwięcéj na świecie, i z nich to wyborowsi tworzą zastęp ludzi powolnie lecz stale dążących do postępu. U niektórych znowu żywsza wyobraźnia, a jednocześnie większy hart ducha i większa wytrwałość zarysowuje ideały mocniejsze, donośniejsze i obejmujące sobą daleki widnokręg świata przyszłego. Trzeźwość umysłu uwidacznia dla nich potrzeby dzisiejsze bezpośrednie, lecz szerszy widnokręg ich pojęć

zakreśla i plany na dalszą przyszłość. To są reformatorowie i przeobraziciele porządków społecznych. Inni jeszcze z takimże samym umysłem, lecz gorętsi imaginacją i żywszéj jeszcze, rwącéj się bezpośrednio do czynów wielkich ochoty — chcieliby ideały wysnute dla przyszłości natychmiast wcielić w życie i być obecnymi ich wcieleniu się. To są upadłe genjusze społeczności itd. itd. Są wreszcie tacy, którzy zatopiwszy się w ideałach swoich i bezpośrednio ich tworzeniem się lubując, tak się przez to oderwali od życia codziennego, że zapominają o chwili bieżącéj, o bezpośrednich obowiązkach; a brnąc coraz daléj w dziedzinę ułudy, stają się zimnymi jak głaz i obojętnymi na wszelkie objawy uczuć i nieszczęść ludzkich, pomimo iż serce ich było szczere jak złoto, a miękkie jak wosk. To są marzyciele i marzyciele najnieszczęśliwsi. Marzenia ich stają się z postępem czasu mrzonkami albo fikcją.

Semen Palij nie należy do tych, chociaż może w pokrewieństwie z nimi zostaje. W drodze bowiem rozwoju ostatniego typu ludzi zatrzymał on się na tym punkcie, od którego już się zaczynają rozchodzić dwie, pochylone ku sobie kątem ledwo kilku stopni, ścieżki życia wewnętrznego: jedna bezwarunkowo marzycielska, a zimna, samolubna; druga mglista wprawdzie marzeniami samolubnemi, lecz świecąca jeszcze pasmem dość jasnych i ciepłych uczuć. Usposobieniem swojém i tą zdolnością, jaką mu nadała wędrówka połowy przebieżonych marzeń, obejmował on zarówno obie te ścieżki z jednaką łatwością, a skłaniał się bardziéj ochoczo ku téj ostatniéj — lecz serce nawet i na nią go nie skierowało, a zatrzymał się, jak powiedzieliśmy, przed niemi, na tym punkcie zwrotnym, na którym świecił dla niego dość jasny jeszcze płomień uczuć wszechludzkich, humanitarnych i uczuć szlachetnie egoistycznych, miłośnych; owszém, cała istota jego wymagała, aby ten płomień był wciąż podsycanym, wciąż jaśniejszym. Kochał on ludzi jeszcze gorąco, lecz zarówno potrzebował miłości egoistycznéj, którаby współczuła miłości jego wszechludzkiéj; potrzebował takiéj istoty, którаby współczując marzeniom jego, mogła tém współczuciem podtrzymać je — na tém się opierało szczęście jego.

Słowem — gdyby takiego Semena przenieść z głuchego sioła ukraińskiego na bruk wielkomiejski i wprowadzić go w dwie różne konwencjonalno-towarzyskie sfery: jedni nazwaliby go niepraktycznym, marzycielem, lub w razie najlepszym idealistą; drudzy — człowiekiem niepowszednim, patrzącym w świat głębiéj i daléj niż ludzie codzienni, człowiekiem, dla którego świat się nieogranicza czterma ścianami pokoju jego, a talerz zupy wytwornéj nie stanowi całego szczęścia.

Językiem towarzyskim wypowiedzieliby to, co tak naiwnie wypowiedziała ciotka Parasi:

„Dziwny, jakiś dziwny był z niego człowiek.“

Takiemu to właśnie człowiekowi trafiło się (kładziemy nacisk na ten wyraz, bo téż niestety! najczęściéj dotychczas trafem zawiązuje się miłość między ludźmi) zakochać i ożenić z kobietą wcale niedziwną, ani téż marzącą, a przeciwnie — bardzo realną, pospolitą i pochodzącą z typu wielce rozpowszechnionngo na szerokim świecie — z Parasią......

Córka zamożnych rodziców, jako sierota po śmierci tychże mieszkała i wychowywała się u ciotki swojéj. Było to ładne czarnobrewe i czarnookie dziewczę z wiecznym rumieńcem na licu i uśmiechem na ustach. Zgrabniutka, wdzięcznéj kibici, wesoła szczebiotem swoim rozweselała bywało smętną chatę opiekunki, dla któréj istnym była aniołem dobroci i pociechy. A pracowita, a zapobiegliwa, przemyślna: podlotkiem będąc, już obszywała całą rodzinę; a skoro wyrosła i dojrzała, istna z niéj się stała gosposia w domu: stara ciotka niepotrzebowała o nic się troszczyć — wszystko za nią zrobi Parasia — do gotowego tylko zasiąść i jeść. Wesoła, towarzyska dziewczyna lubi się zabawić i poswawolić: więc na wieczornice i prażniki zawsze z sercem ochocém bieży —

— „Ciociu gołąbko — ja do dziewcząt pójdę“ —

opowiadała się zawsze z każdéj zamierzonéj wycieczki.

Lecz oto od niejakiego czasu postrzega troskliwa ciocia, że jéj Parasia i wychodzi coraz to częściéj z domu, i już nawet tak się nieopowiada jak dawniéj było z każdéj wycieczki, a jak ptaszek wyleci z chaty i zniknie; niechże znowu powróci, to z dziwną jakąś zmianą na licu i w sercu: raz bywa wesołą, szczebiotliwą nad miarę, więcéj jeszcze niż przedtém; to znowu zamyślona, marząca z bujającym zaledwo dostrzegalnym na ustach uśmiechem ni to szczęścia, ni to smutku.

— „Co tobie, Parasiu, gołąbko? co tobie dobrego się trafiło?“ —

Pyta ciotka, postrzegłszy ją wieczoru pewnego więcéj jeszcze potulną a wesołą niż zwykle.

Dziewczę się wzbrania; spojrzy tylko i spłonie kraśniejszym nad kalinę rumieńcem.

Ciotka nalega i nalega coraz to bardziéj, chcąc posłyszeć rzetelną z jéj ust odpowiedź, chociaż w duchu może się domyśla czego.

Wstała ona wtedy, wyprostowała się i rzekła:

„Ja, ciociu miła... ja już prędko za mąż pójdę.“

— „Boże ci dopomóż! Niech Matka Boska obdzieli cię szczęściem, dolą.“

— „A za kogo?“

„Za Semena Palija.“

— „Och, dziecko moje! czy toż do pary?“

„Do pary, do lubéj upodoby“ z dumą odpowie

Zapewne, dziewczę jeśli nie zupełną, to przynajmniéj połowę miało słuszności. Mogli oni oboje z wielką łatwością siebie upodobać, ba, nawet zakochać się mogli, tembardziéj, że posiadali przymioty wręcz sobie przeciwne: każdemu z nich brakowało to właśnie, czém drugi nad miarę rozporządzał. I to stanowi prawdziwe nieszczęście ludzi do podobnéj kategorji należących. Podobni oni do owych cackami bawiących się dzieci, które nigdy się niezadawalniają będącemi w ich ręku zabawkami, a pragną coraz to nowszych i rozmaitszych, byle nie takich, jakie już mają; niech będą one najpiękniejsze i najlepsze zamieniają je za gorsze, byle inne:

bo to cacko nie takie jak u mnie.

Niechcemy przez to rozumieć niestałość charakteru tych ludzi — nie, bo nawet chęć dostania nowego cacka jest u dziecięcia wynikiem potrzeby nowych wrażeń, a u nich ta zdolność umiłowania przymiotów odmiennych od tych, jakie sami posiadają, temcibardziéj nie jest zależną od ich charakteru. A przytém nie dla tego człowiek takiéj kategorji umiłowuje te odmienne od swoich przymioty, aby miał szukać rozmaitości, aby późniéj z takąż łatwością szukać znowu odmiennych, a dla tego że te przymioty nie są jego przymiotami. Może on je umiłować raz jeden i potem zawieść się na nich, lub nie — rzecz to wcale innéj kwestji dotycząca — idzie mu przedewszystkiém o to, aby nieswoją postać upodobać (pomimo jednoczesnego rozmiłowania się w swoichże własnych przymiotach), czyli idzie mu o to, jak się mylnie wyrażają niektórzy fizjologowie — aby dopełnić i uzupełnić siebie.

Pomimo więc zewnętrznych czysto przymiotów, jako to: pewnych rysów twarzy, wzrostu, kształtów ciała, kibici etc., co wedle nas jest niejako wstępném, rekomendującém świadectwem dla sympatyzujących z sobą osób — pomimo iż pierwsza sympatja między osobami powstaje bezpośrednio pod wrażeniem tych zewnętrznych przymiotów (niezależném od doskonałości tychże a od gustu osobistego) — Semenowi podobał się albo mógł się podobać w Parasi ów wiecznie igrający uśmiech na ustach, ta niczém niezamącona wesołość, wreszcie ruch-

liwość i szczebiotliwość połączona z uroczą naiwnością — słowem przymioty szczególnym wdziękiem owiewające niejednę postać dziewiczą w jéj latach wiośnianych, a które też i na niéj wycisnęły odrębne a nadobne znamię indywidualizmu, lecz przymioty, na których właśnie Semenowi zbywało, a do tego ciągła natężona przytomność umysłu — rys, którego skrzywienie i skoszlawienie w dalszém życiu mogło niejednokrotnym dysonansem przerywać tę wdzięczną harmonję całego jéj usposobienia, lecz w owéj chwili czaru i omamień, jakie wpajały w duszę jego inne jéj zalety, zacierający przed nim możliwość takowego spaczenia, albo raczéj zlewający się w wyobraźni jego wraz z innymi rysami w jednę czarowną harmonję — wszystko to naprawdę przy usposobieniu, w jakiém on był natenczas, nie mogło go uczynić panem sytuacji, lecz sługą jéj i zakochać się mógł i musiał.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OJCZYM.

Powieść współczesna

przez

Józefa Narzymskiego.

— Dwa a trzy to pięć, a sześć to jedenaście... jeden piszę a jeden mi się zostaje, jeden a cztery to pięć, a siedm to dwanaście... sto dwadzieścia jeden... Bodaj piorun trzasł tego, kto pierwszy jarmarki wymyślił!... Sto dwadzieścia jeden rubli jednego dnia... i jak tu człowiek wystarczyć może?...

Tak mruczał pod nosem pan Wojciech siedząc w swéj kancelarji i obliczając ile w dniu tym wypłacił parobkom idącym na jarmark do Sreńska. Kancelarja owa, był to pokoik nie wielki, niski, o jedném oknie i o piecu pobielanym. Pod oknem stało biórko jesionowe, przed niém fotel nowszy nieco, skórą amerykańską wybity, na prawo biórka szafa pełna papiérów, na lewo kanapa, tegoż co fotel rodzaju, i razem z nim widać kupiona. Przy drzwiach na gwoździu wisiały harapy, baty i sfory dla hartów; na przeciwległéj ścianie stare jakieś bohomazy zakopcone, mające reprezentować dziada czy pradziada pana Wojciecha i jego połowicę. Pod poprzeczną ścianą stała sofka przykryta wytartym dywanikiem, czyli tak zwanym kilimkiem. Nad nią wisiała torba myśliwska, ale fuzji nie było, bo już wtedy Moskale broń poodbierali. Na oknie stały drewniane misy z próbkami zboża, flaszka z terpentyną, i inne tym podobne drobnostki. Była to słowem kancelarja wioskowego szlachcica, w któréj niepodobna było odkryć śladu jakiegoś pragnienia lub poczucia piękna, czy wygody.

A przecież pan Wojciech Adamski nie był wcale wioskowym szlachcicem. Syn dzierżawcy, skończywszy cztery klasy w Pułtusku, pomagał najprzód ojcu, a potem objął po nim dzierżawę. Cichy, spokojny, ale obdarzony wrodzonym sprytem do gospodarki i do robienia pieniędzy, zwrócił na siebie uwagę bogatego sąsiada, dorobkiewicza także i trochę lichwiarza, mającego kilkoro dzieci a między niemi córkę bardzo niełądną i mocno zezowatą. Trudno marzyć było o wydaniu dobrze tak upośledzonéj panny, i stary spekulant zaczął ciągnąć do siebie młodego robigrosza. Wprawdzie pan Wojciech durzył się trochę w jednéj ze swoich sąsiadek, ale ponieważ panna Cyprysiewicz miała sto tysięcy baares geld, i jeszcze nadzieje, a jego Anusia ledwo kilkanaście, więc po krótkiéj walce wewnętrznéj, rozsądek wziął górę i p. Wojciech został mężem panny stotysięcznéj. Odtąd życie jego było szeregiem ciągłych powodzeń. Dzieci mu się rodziły w miarę, żona nie chorowała, a majątek z każdym rokiem przybywał. Zresztą przyrastanie to nie było połączone z nieuczciwością rażącą. Wprawdzie za posag żony pan Wojciech kupił za pół darmo majątek wystawiony na sprzedaż przez Towarzystwo, a i potem kupował znowu dobra, które właściciel zmuszony był sprzedać, ale w lichwę się nie bawił, pożyczał rzadko i to tylko na prawny procent, a głównie skupował ziemię. Że zaś gospodarował i żył oszczędnie, że przytem miał szczęścia wiele, więc też po 20 latach takich obrotów, był właścicielem Rogoży, majątku wartującego najmniéj ze sto tysięcy rubli, dwóch innych folwarków w Płockiém, a na hypotekach i w szkatule miał ze 300,000 zł. gotówki.

W ostatnich latach, stanąwszy już, jak się sam wyrażał, na nogach, zaczął nawet pan Wojciech chorować na dobroczynność. Więc bardzo potrzebującym przychodził z niewielką pomocą na mały procent, a jednego nawet sąsiada tak wsparł w krytycznéj chwili pożyczką, że go rzeczywiście od ruiny uratował.

To naturalnie niezmiernie go podniosło w oczach braci szlachty. Jednocześnie zaczął pan Adamski stawiać nowy dom a raczéj pałac w Rogoży. Ale jak zawsze wyrachowany i praktyczny stawiał go powoli, nieruszając kapitałów. W chwili gdy się nasze opowiadanie zaczyna, pałac już był zewnętrznie skończony, a robiono podłogi, okna, piece i t. d. Tymczasem państwo Wojciechowie mieścili się w starym domu, a choć bawialne pokoje były już nieco po pałacowemu urządzone, przecież mieszkalne, a między niemi i owa wyżéj opisana kancelarja zostały po dawnemu.

Sam pan Wojciech siedzący właśnie przy biórku i liczący zaliczki dane służbie na jarmark, był to sobie człowiek lat blisko pięćdziesięciu, blondyn jasny, o jasno niebieskich a raczéj szarych oczach, o wąsach obwisłych, o nosie trochę okrągławym i mięsistych wargach. Twarz jego dość pełna, spokojna, miała ten wyraz bezmyślnéj uczciwości, jaką u nas na wsiach co chwila spotykać można. Znać było, że żadna namiętn ść, że żadne męczące rozmyślania nie poorały zmarszczek na tém czole i piętna swego nie zostawiły na niém. Zresztą pan Wojciech był średniego wzrostu, średniéj tuszy, ruchów i wymowy powolnéj, ubierał się przyzwoicie, na wskazującym palcu prawéj ręki nosił złoty pierścień z herbem, a obrączkę ślubną na serdecznym. Nie jest to bynajmniéj szczegół małoznaczący. Rodzaj, ilość, i sposób noszenia błyskotek, a głównie pierścionków, jest jedną z cech charakteru, po któréj można na pewno zrobić sobie niejakie wyobrażenie o człowieku. Dajcie mi rękę, a odgadnę jéj właściciela. Żaden n. p. człowiek światowy, rasowy, lub za rasowego uchodzić pragnący, nie włoży pierścienia grubego na wskazujący, lub na średni palec. Wszystkie jakie ma pierścionki zgromadzi na czwartym lub piątym palcu, a jeżeli jest bardzo fein, to czasem na wielkim.

Kupcy tylko, fabrykanci, rzadziéj już szlachta wioskowa opatruje index swoją pieczęcią, wyrytą na złocie lub kamieniu.

*) Początek téj powieści był zamieszczony w trzecim roczniku „Mrówki.“ (P. R.)

Możnaby cały rozdział napisać o tym przedmiocie i studjum takie nie byłoby może bez interesu, odłożyć to jednak wolę na późniéj, a dziś wracam do mego pana Wojciecha.

Skończywszy rachunek i na dno piekła posławszy wynalazcę jarmarków, pan Wojciech zamknął rejestra, i rzucił je z niechęcią precz od siebie; wstał — przeciągnął się, wziął fajkę obok stojącą, przedmuchnął ją i zanurzywszy stambułkę w pudełku od cygar pełném woniejącego Żukowa, nałożył ją. Potém zapaliwszy i puszczając wielkie kłęby dymu, pan Adamski zaczął szerokiemi krokami przechadzać się po kancelarji. Co myślał wtedy nasz szlachcic? nie wiem, choć myślał widocznie, bo się i uśmiechał, i wąsa gładził, i nawet coś bąkał po cichu. Chodzenia tego i téj cichéj ze sobą rozmowy było może z jaki kwadrans, poczem pan Wojciech raptem zawrócił na miejscu, drzwi kancelarji otworzył i brutalnym głosem zawołał:

— Janie! ..

— Jestem jaśnie panie! — odezwał się z kredensu głos ochrypły, i w téjże prawie chwili ukazał się we drzwiach przeciwległych szpakowaty mężczyzna, bez surduta i kamizelki, z zawiniętemi rękawami, trzymający w jednéj ręce talerz mokry a w drugiéj ścierkę czarną jak węgiel.

— Poproś tu pani…

— Zaraz, jaśnie panie.

Pan Wojciech cofnął się do swéj kancelarji i znów chodzić zaczął. Zaledwie jednak dwa lub trzy razy zdołał zmierzyć krokami ciasną swą izdebkę, drzwi znów się otworzyły i ukazała się w nich pani Wojciechowa.

Jeżeli przed laty dwudziestu pięciu nie była to piękność, toż naturalnie ćwierć wieku nie dodało jéj powabu pewnie. Zezowate oczy jeszcze krzywiéj patrzały, twarz była śniada, płaska, włosy ciemne niezupełnie starczyły na przykrycie skóry. Na głowie miała czepek z ponsowemi wstążkami, na sobie szlafroczek tybetowy, rękawy zawinięte, i ręce czarno-czerwone, jakby w atramencie ufarbowane.

— Co każesz, koteczku? — rzekła zatrzymując się we drzwiach.

— Chciałem pomówić z tobą, duszko… — rzekł stojąc przed nią p. Wojciech.

— Czy co pilnego?

— A bardzo nawet, wiesz, jutro jadę do Staréj wsi.

— A! prawda! — zawołała zrozumiawszy żona… — tylko… widzisz właśnie konfitury robię… ale to nic — dodała prędko, — Zochnę tam zostawiłam, to już Wincenty cukru nie ukradnie.

I to mówiąc obtarła z grubszego czarne swe ręce w płócienny fartuch i usadowiła się na kanapie, gotowa widocznie do długiéj i obszernéj z mężem konferencji.

Pan Wojciech siadł także obok swéj połowicy i puściwszy kłąb dymu zaczął:

— No i jakże duszko, namyśliłaś się już nad tém, com ci mówił dawniéj?

— A myślałam, myślałam i wczoraj i dzisiaj ..

— A więc?…

— A cóż, partja zdaje się dobra, jeżeli tak jest jak mówisz…

— Powtarzam ci duszko, — przerwał pan Wojciech, że Stara wieś to jabłko złote, dwieście włók ziemi doskonałéj… kawał lasu dobrego…

— Ale opuszczone…

— To prawda', przy gotówce jednak to się łatwo podniesie, długów prawie żadnych. .

— No, no, pan ojczym musiał się o nie postarać...

— Być może, ale to zawsze nie wielkie mogą być sumy…

— A dożywocie matki?…

— Tak, to rzecz najgłówniejsza, ale z Piotrowiczem to się da jakoś usunąć.

— Hm, wątpię… to krętacz…

— Bah!… mądry on, ale i ja przecie nie głupi. Zresztą on ma w tém własny swój interes… Powiadam ci, duszko, że wszystko dobrze obliczywszy, Polusia ma zawsze blisko z miljon…

— Ej, nie tyle chyba…

— No mniejsza tam o kilkadziesiąt lub sto tysięcy... ziemia idzie w górę… Ale ty, widzę, duszko, nie bardzoś z tego projektu kontenta…

— Bo widzisz, kotku — zaczęła powoli pani Cecylja, — ja się jéj trochę lękam…

— A to czemu?

— Wypieszczone to, wychuchane, a paple językami jak papuga, a gra, a śpiewa, a w książkach siedzi… gospodyni z niéj nie będzie…

— Hm… masz rację, duszko, ale pomyśl též przecie, że oni będą mieli żyć z czego, i żona naszego Felutka, nie potrzebuje się tak bardzo męczyć gospodarstwem…

— Toć i ja już Bogu dzięki nie potrzebuję, a przecież… — i pani Adamska pokazała mężowi ręce sokiem ufarbowane…

— A któż ci każe tak się męczyć?… Robisz to bo taka twoja wola… Zresztą i Polcia jak pójdzie za mąż, jak będzie mieć dom własny, wdroży się powoli… a przecież sama nie chcesz żeby się Feluś ze zwyczajną szlachcianką ożenił…

— I myślę, ża ma też do tego prawo…

— No, spodziewam się… a więc jakże duszko… zaczynać?…

— Zaraz… a cóż się z rodzicami stanie? Bo' jeżeliby mieli w Staréj wsi zostać…

— A! niechże Bóg broni!… ani mowy o tém być nie może i nie ma też najmniejszéj obawy. Piotrowiczowa aż drży do miasta, a i on także byle schwycił kapitał, nie będzie tu siedział ani trzech dni…

— No, pamiętaj, bo bez tego, nic… Więc jutro myślisz jechać?

— Jutro, dobra sposobność… jakieś tam zebranie w Staréj wsi…

— Ah! z temi zebraniami to utrapienie prawdziwe, wy się jeszcze doigracie czego…

— Oj! masz rację, masz rację, że to kapitalne głupstwo, ale co chcesz, wleziesz między wrony, kraczże jak i ony, a potém to okazja jedyna… Felka zawiozę, przedstawię, na noc zostaniemy i na drugi dzień pogadam otwarcie z Piotrowiczem…

— Tylko nie daj się oberznąć bo to szwindel…

— No… no… już o to bądź spokojna… gorzéj z kobiétami…

— Oh o to ja znów zupełnie spokojna jestem… Piotrowiczowa boi się swego męża jak ognia… zrobi co tylko jéj każe.

— Tak ale Polcia…

— A chybaby też oczu nie miała, — oburzyła się matka. — A cóż to!… czegoż ona więcéj pragnąć może, jużcić chociaż matka, powiedzieć otwarcie mogę, że takich jak nasz Feluś, nie wielu!...

— Tak, ale te dziewczęta...

— Oh!… o to kłopot najmniejszy! bo nareszcie wiesz jak ona matkę kocha, byle tylko z nim samym skończyć, to o resztę mniejsza. Gorzéj oto czy ona się Felutkowi spodoba…

— To też chciałbym, żebyśmy z nim pomówili… dobrze?…

— Ty wiesz kotku, że ja na wszystko się zgadzam co zechcesz — rzekła pani Wojciechowa z uśmiechem, który chciał być zalotnym i nachyliła się ku mężowi — pan Wojciech na ten umizg odpowiedział głośnym pocałunkiem i szeptem… „Moja ty poczciwa kobiécino“

potém wstał, drzwi otworzył i znowu zagrzmiał tubalny głos:

— Janie!...

— Jestem jaśnie panie!... i w drzwiach od kredensu znów się ukazał lokaj...

— Pana Feliksa tu poproś... zaraz!...

Zamknąwszy drzwi pan Wojciech zwrócił się do biurka i nakładając nową fajkę, bąknął z uśmiechem...

— Ciekaw jestem, jak też chłopiec to przyjmie?...

— Oh! ręczę ci że się zgodzi na wszystko... to takie dziecko poczciwe!...

— No, nie wielkiéj też i ofiary wymagamy od niego! To śliczna dziewczyna...

— Ale taka chuda...

— No... no... roztyje się... roztyje... niech tylko męża dostanie...! — dowcipnym uśmiechem uspokajał pan Wojciech żonę siadając przy niéj...

— Fe, Berciu!... — niby zgorszona protestowała pani Wojciechowa. Berciem zaś został pan Wojciech od lat kilku, gdy fortuna się zwiększyła a pałac stawiać zaczął. Pani Cecylja zauważała, że Albert brzmi przyzwoiciéj jak Wojciech choć to samo znaczy, i odtąd dawnego Wosia zastąpił dystyngowańszy Bercio. Nie zważając na dziewiczy wstyd żony pan Wojciech mówił daléj:

— A potem duszko, chłopiec czuje bożą wolę...

— Co mówisz?... — zawołała przestraszona matka, uderzając w dłonie, — co mówisz?

— Oho! wypatrzyłem ja go, jak się uganiał za tą Marysią z kuchni...

— Ale to niepodobna! .. on taki moralny!...

— No, co w tém strasznego...

— Jak to, co strasznego... to dla ciebie nic strasznego?... ależ to grzech, to skandal...

— Co za skandal?... — tłumaczył pobłażliwy ojciec, — chłopiec młody, dziewczyna ładna :

— Ładna, ładna... ty uważasz że ładna, a! winszuję, rozumiem, rozumiem... — wołała pani Cecylja i twarz jéj zarumieniła się jak karmazyn...

— Co rozumiesz duszko, co takiego... — bąkał mąż przerażony, widząc, że burzę wywołał...

— Jakto co?... Myślisz że ja taka głupia... ojczulek sam lata za dziewczętami, a na syna zmawia...

— Ale zlituj się...

— Zlituj się... zlituj... powiesz może znów że to plotki... co? Ale nie bój się... znam ja się na tém... o! znam... i wypędzę tę szelmę... wypędzę... wypędzę...

I pani Wojciechowa rozogniona, czerwona, gniewna, porwała się z kanapy, i szybko chodzić zaczęła po pokoju wyrzucając głosem syczącym wyraz za wyrazem. Pani Wojciechowa wiedziała od lat dziecinnych że ładną nie jest, bo jéj to bracia, rodzice i lustro mówiły, poszedłszy więc za mąż podejrzywała wciąż męża i była szalenie zazdrosna. Że zaś pan Wojciech mimo powagi i flegmy swojéj dawał od czasu do czasu powody do skargi, podejrzliwość więc rosła z wiekiem, i stawała się manją prawdziwą... Pan Wojciech wiedział że raz rozbudzona burza, żadnemi się nie da zażegnać słowami, milczał więc przygryzując wąsy, i tylko w duchu przeklinał siebie, że się tak haniebnie złapał... Bo trudno zaprzeczyć... ojciec i syn byli rywalami...

Bóg wié jakieby rozmiary scena ta przybrała, gdyby na szczęście drzwi się nie były otworzyły i nie ukazał się w nich syn. Na widok ten pan Wojciech odetchnął, a żona jego rzuciwszy nań pełném groźby okiem, usiadła, a raczéj rzuciła się na dawne swoje miejsce.

Pierworodny państwa Wojciechów miał wtedy lat może 23. Był to chłopiec średniego wzrostu i niezłéj budowy, ale w ruchach powolny i gburowaty. Był podobny do obojga rodziców, i dla tego przystojniejszy od matki, ale brzydszy od ojca. Bardzo jasny kolor włosów, brwi i zaledwie pokazującego się zarostu, małość i bezbarwność oka; wreszcie czerwoność czoła i policzków nadawały twarzy jego dziwny wyraz pospolitości. Właściwością jego były także czerwone ręce i wiecznie czarne paznogcie. Wszystko to razem składało się na tak niepoczesną całość, że niejeden z gości u państwa Wojciechów bywających, brał przyszłego dziedzica Rogoży za lokaja, co niezmiernie bolało pana Feliksa.

Po paru podobnych zdarzeniach zaczął on się ubierać wykwintniéj, i przyczepił do zegarka ogromnéj wagi łańcuch, obciążony brelokami, wśród których zwracała uwagę łapa sępia z zakrzywionemi pazurami.

Ta zewnętrzność młodego chłopca malowała dość dobrze umysłowe i sercowe jego przymioty. Była to jedna z owych dusz skazanych na pół-senność wieczystą, na spokojną i powolną wegetację. Marzenia jego młodzieńcze nie wylatywały po nad wieżę ojcowskiego majątku i granicę powiatu, nadzieja nie przekraczała wysokości sędziego pokoju lub radcy Towarzystwa kredytowego, zapał, namiętność, porywy młodéj duszy były to rzeczy dlań nieznane. Oddany wcześnie do szkół niemieckich, uczył się średnio, nawet nieźle, bo pamięć miał dobrą, a wiedział że uczyć się trzeba. Skończył jednak na sekundzie, bo otwarcie oświadczył, że egzaminu nie przebędzie. Potem dwa lata bawił w szkole agronomicznéj, dwa lata na praktyce i zaledwie przed kilku miesiącami wrócił do domu rodziców. Wychowanie to czysto praktyczne, zgniotło do reszty te zarodki imaginacji i wyższych pragnień, jakie może gdzieś tam, na dnie serca tego ślimaka tlały. Prócz tego wychowanie to wynarodowiło go prawie zupełnie. Była to druga połowa 1862 r. a przecież to, co się w okół niego działo, było dlań obojętne i niepojęte. Nie przeszedłszy nic, nie przecierpiawszy ani przebolawszy, młody ten chłopak stał na progu życia spokojny, chłodny, nie nudzący się wprawdzie, ale niepragnący też niczego więcéj jak własnéj wsi, na któréj mógłby wedle własnych pojęć gospodarować. Ale i agronomja nie była dlań namiętnością. To jedno umiał, to go więc ciągnęło przedewszystkiém do siebie. Jeżeli roił o czém, to chyba o stanowisku obywatela, co w jego pojęciu równoznaczące było z właścicielem majątku ziemskiego; daléj myśl jego nie sięgała.

Trudno temu uwierzyć, a jednak tak jest, że chłopiec ten nie kochał dotąd. Miał on naturalnie swoje upodobania w szkołach i w zakładzie agronomicznym, ale były to romanse takie same, jak z Marysią... O jakiéjś młodzieńczéj, idealnéj miłości ani mu się śniło nigdy, a bohaterki swoje wybierał zawsze wśród pokojówek, kucharek, lub dziewczyn folwarcznych, bo te najmniéj zachodu i pieniędzy kosztując, wystarczały mu zupełnie.

I w téj także chwili, korzystając z zapadającego zmroku, pan Feliks spacerował gdzieś w ogrodzie z ładną Marysią, i dopiéro ochrypły głos Jana przerwał przyjemną schadzkę. To też młody Adamski wchodząc do pokoju był czerwieńszy jeszcze jak zwykle, włosy miał mniéj gładko przyczesane, a oddech nieco przyspieszony.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z wieczornych pieśni W. HALKA.

Jam sądził że bólów piekło,
Już się zamknęło na wieki.
A łez tak wiele wyciekło,
Że już niestarczą powieki...

A wtém wspomniałem o tobie,
I dusza się ma zachwiała,
Nieukojona w żałobie,
Jak gdyby stracić cię miała.

I wiele serce łez mieści,
Z pod wilgłéj trysło źrenicy...
A ja poznałem w boleści,
Że łzom mym nie ma granicy.

Wł. Bełza.

Józef Bogdan Dziekoński.

Przyczynek do życiorysu
przez
Paulinę z L. Wilkońską.
(Z Moich Wspomnień).
(Ciąg dalszy.)

Rok 1846 przebolał, czując duszą całą i rozumem niewczesne, nieoględne porywy — Bóg wié czém i jak wywołane. — Byłby je życiem swojém chciał powstrzymać... — i czynił pod tym względem co mógł.

Aleksander Miniszewski uwielbiał go, biegał za nim — i w niewłaściwy sposób jakąś bajeczną sławę swojego bohatyra rozgłaszał: o genjalnych jego pomysłach — czynach wielkich, i komponując niestworzone rzeczy... kompromitował go w obec ludzi złéj woli i czujności rządu, który takich wielkości nie znosi.

Było to w późnéj jesieni, Bogdan Dziekoński posiedział u nas długo we wieczór. Mówił wiele — opowiadał poufnie niejedno z przeszłości swojéj — i widocznie dziwno a rzewnie był usposobionym.

W końcu powierzył nam, że gadaniny Miniszewskiego — (których i dzisiaj jeszcze niepodobna powtórzyć) — podnoszące go na jakiś piedestal wysoki, dziwotworne a bujne, rozbiegły się różnie a szkodliwie bardzo. Że pewien ktoś — (nazwiska niepodobna mi podać) — występnie chciał z nich korzystać i zagroził Bogdanowi Dziekońskiemu denuncjacją wprost do namiestnika, jeżeli mu wielkiego nie złoży okupu... Odpowiedział, oczywiście, z najwyższą pogardą podlcowi, który z tak haniebnie niecném wystąpił żądaniem... i denuncjacja podaną została. — Przeraziliśmy się tą wiadomością niemało — bo w Warszawie każda denuncjacja, choćby i na niczém oparta, smutne i groźne pociąga następstwa.

Mówiliśmy dużo o téj sprawie fatalnéj. Potém Bogdan Dziekoński zwrócił się do lat swoich uniwersyteckich — mówił o Dorpacie, o Królewcu — ożywiał się szczególniéj — ale na dnie duszy smutna a tłumiona niekiedy zadźwiękła nuta.

Uderzyła godzina pierwsza z północy — porwał się, a chmura nagła powiała mu na czoło,

— Dobra noc! wymówił. — Do zobaczenia! dodał ciszéj,

— Przecie będziesz nocował? zagadał August.

— Pójdę do Ustronia.

— Jakto! W nocy i pieszo?

— Co to szkodzi! Przedrę się manowcem przez okopy.

— Bój się Boga, człowieku! Masz tutaj pokój, masz łóżko. Po cóż się narażać i guza dobrowolnie szukać?

— Znam drogę dobrze i stanę szczęśliwie. Upiory napastować mnie nie będą — uśmiechnął się smętnie. — Lubię chodzić po nocy. Wiesz przecie, że mi właśnie teraz moja wada organiczna serca sypiać nie dozwala. Zatém lepiéj, że się przejdę. Ot, mam przy sobie od Chałubińskiego i lauro cerosis.

— Dziwak z ciebie, nocuj, zaklinam!

— Nie mogę!... Do widzenia!... Do zobaczenia!...

Uścisnął Augusta — pożegnał mnie — i szybko wybiegł.

August poszedł za nim ze świecą i drzwi sienne otworzył.

— Do zobaczenia! powtórzył raz jeszcze, nie obejrzawszy się wcale. i w pustéj zniknął ulicy.

Nazajutrz Bogdan z Ustronia nie wrócił — a nie chodził tam wcale. I téj saméj nocy, wprost od nas, kraj gorąco ukochany pożegnał na zawsze.

W tydzień potém zjawił się u nas major od żandarmów Wrześniewski — niezły podobno człowiek, ale używany przy aresztowaniach, rewizjach i śledztwach. Byłam tylko sama, przeraziłam się niemało — alem nadrobiła miną.

Badał mnie grzecznie o wyjazd Bogdana Dziekońskiego za granicę. Naturalnie, żem o niczém zgoła nie wiedziała.

— A z kimże on tu przestawał w Warszawie? zapytał następnie.

Wymieniłam kilku szpiegów wyższego rzędu.

Major się uśmiechnął — i zapisał ich sobie.

— A czy oni będą o nim wiedzieli?

— Myślę.

— Ale przecie u państwa musiał się wywnętrzać?

— Był skrytym... cierpiał na spleen.

W téj chwili nadszedł mąż mój.

— Nieprawdaż — zagadałam zaraz do niego — że Bogdan Dziekoński żył wiele z panami * * * i cierpiał na spleen.

August zrozumiał naturalnie o co chodzi. Powtórzył zatém niemal to samo, com powiedziała. — Poczém inkwizytor się skłonił i wyszedł.

W kilka tygodni późniéj napisał do nas Bogdan Dziekoński z Paryża:

„Czyniłem ścisłą tajemnicę z nieszczęśliwéj emigrantki mojej, ażeby świadomością téjże nie skompromitować nikogo. — Rodzice moi nie spodziewali się

nigdy, że mnie już nie zobaczą. — Nawet i jednéj nie prześlę im literki, by najdroższemu nie zaszkodzić ojcu. Niechaj ich Bóg dobry pocieszy!...“

O Towiańskim zwykł był opowiadać anegdotki różne... i karykatury rysował. A w Paryżu, poznawszy mistrza ...... marzyciel tęskny, z usposobieniem skłonném do mistycyzmu, całą do niego przylgnął duszą — i stał się jednym z jego najgorętszych adeptów. Bo na tułactwie nowe dłań rozpoczęły się walki. — Z gorżką boleścią patrzył się na życie wychodztwa... i serce jego na wszystkie rwało się strony, by łagodzić dolę cierpiących — a niejednego z toni podźwignąć. Wrażeniowa jego dusza pociągnęła go do nauki Towiańskiego — i szukał w niéj otuchy i lekarstwa na boleść i tęsknotę swoją.

Nastał rok 1848 — rok obietnic wielkich — a większych jeszcze zawodów i mar niedościgłych nadziei. Bo zdawało się, że godzina bohatyrstwa wybiła — że ludom zbawcze zajaśniało słońce... Więc i Bogdan pobiegł dzielić losy walczących.

Udał się z Adamem Mickiewiczem do Rzymu, gdzie poświęcenie chorągwi polskiéj pozyskali u Ojca św.

Następnie, w celu formowania legionu polskiego i prowadzenia interesów tegoż, wysłany został z pełnomocnym ministrem Włoch całych, Trappoli, do Paryża — człowiekiem wyższym i zacnym. Tutaj młodzież pod sztandar zaciągał polski, znosił się z władzami francuzkiemi, utrzymywał korespondencje, — słowem, był prawą ręką Trappoli'ego.

Potém stanął w szeregu. Służył jako prosty żołnierz — często przez kolegów postawiony na czele, a po boju znowu prostym stał się szeregowcem.

Po skończeniu kampanji włoskiéj udał się w Badeńskie. Pozyskał tamże rangę majora — o czém przed najzaufańszymi przyjaciołmi nie wspomniał nigdy, i dopiéro po śmierci jego pan Aleksander Panosiewicz nominację tę znalazł.

Po wojnie badeńskiéj udał się Bogdan Dziekoński do Szwajcarji — i ciężką pracą na biedne zarabiał życie... zostawszy bez potrzebnego odzienia — o głodzie. Nakoniec spotkał tamże jakiegoś zacnego obywatela, który mu polecił zdjęcie planu swojego majątku. Zabezpieczył mu wygody, pokochał szczerze i wynagrodził sowicie. Byłby go nawet chętnie na zawsze przy sobie zatrzymał. Ale wieczną tęsknotą trawiony Bogdan wybyć wśród obcych, jakkolwiek tyle przyjaznych, nie mógł — i do Paryża podążył, by przynajmniéj twarze braci-Polaków zobaczyć. Fundusz z sobą przywieziony nie na długo wystarczył — ile, że go i z drugimi podzielał, — więc znowu sroga z nim zbratała się nędza. Zarabiał o ile mógł, jako rytownik — jako malarz jarmarczny, zrzekłszy się wszelkich do artyzmu pretensji.

Późniéj poznał go Aleksander Panosiewicz, uznał w nim od razu ów charakter rzadki, serce i duszę, które wyróżniały się wszędzie. Otoczył go przyjaźnią i przygarnął do siebie. Pospołu umyślili pozbierać wszyskie grobowce polskie, jakie się gdziekolwiek znajdują; takowe odrytować, dołączyć do nich, o ile możność dozwoli, biografją każdego emigranta — i tę pracę na pamiątkę **Martyrologji polskiéj** ofiarować krajowi. — Tymczasem stan zdrowia jego pogarszał się z dnia na dzień — i rozpoczęte dzieło do skutku nie przyszło.

Za powrotem moim z Warszawy w r. 1855, w czerwcu, zastałam w Siekierkach list od Bogdana Dziekońskiego z Paryża, z dnia 5 marca. Oto co mi pisał:

„Zdziwisz się Pani przeczytawszy podpis tego listu — że to ja żyję jeszcze — jeżeli to życiem nazwać można. Ale, że i to lada chwilę zagasnąć może, więc chciałbym pożegnać dobrych znajomych i przyjaciół, a z tych liczby nie możesz mnie Pani wyłączyć. Z ś. p. Augustem łączyła mnie przyjaźń rzeczywista, głębsza — i wiem, że on czuł, iż jestem jeden z małéj liczby, co go prawdziwie ocenić umieli. — W Medyolanie r. 1848 w chwili wyruszenia przeciwko Austrjakom, wręczono mi list Augusta — pomazany — powycinany — dotąd nie wiem jaką drogą doszedł. Wyrzucał mi August, żem mu nie zwierzył się z zamiarem emigracji... a przykro mi było, żem z tego zarzutu jemu nie mógł się usprawiedliwić. Ależ zwierzenie się takie jest ciężarem: nie robiłem go bez **konieczności** — a niektórzy co nic nie wiedzieli, udawali później poinformowanych. Gdzie też to ta próżność się nie gnieździ!... Lecz dość o tych chwilach, których wspomnienie nie ma nic przyjemnego. Miałbym tyle do zapytania się Pani, i tyle do opowiedzenia! Ufny w Jéj dobroć, że nie zbędziesz mnie milczeniem, iż muszę na ten raz hamować się aby list pierwszy nie znudził Pani do szczętu. — A więc do rzeczy. Od wyjścia z kraju zawód literacki mój ograniczał się korespondencjami i konspiracjami, proklamacjami, lub przepisywaniem, tłomaczeniem podobnych aktów. Dziś znowu czuję, że za cały czyn pozostaje nam mowa. Na jak długo? Bóg to wié! — a chociaż życzymy sobie, aby jutro trąby zagrzmiały, to doświadczenie nauczyło, że bierne oczekiwanie najzgubniejsze, więc żyjmy, jakby pokój miał trwać lat dziesięć. — A zatém pisać! — Zresztą też, abym był szczerym, muszę Pani wyznać, że to jedno co mi dziś pozostaje dla zaklinania od prześladowań krwawych — przeszłości i przyszłości — na papier wylane boleści często znacznie giną w sercu — innych powierników nie mam, albo mieć nie chcę. — Mam wiele prac zaczętych a nieskończenie wiele projektów — ale ponieważ wszystko odnosi się do Polski, więc trzeba powziąć języka i stosunki dawne odnowić lub nowe robić — bo u nas tak, jak na odległéj wyspie — gdzie oprócz tego jeszcze indywidualizm przemaga. Jak kraj o wielu nas zapomniał, tak i my nie wiemy czém krajowi służyć: czego tam chcą, czego potrzebują, a co im niemiłe lub szkodliwe. Każdy powiew wiatru od Was, każde słowo, to na długo orzeźwia.

Między innemi chciałbym napisać co o ś. p. Auguście. W naszéj literaturze znaczenia jego, o ile wiem, nikt dotąd nie oznaczył godnie. Czybyś Pani nic przeciwko temu nie miała? Po zezwoleniu Pani i dalszém porozumieniu się, przesłałbym Pani do przejrzenia artykuł ten, któryby się jednak drukował w piśmie zbiorowém, jakie tu zamierzam wydać (lecz to sekret, bo inaczéj by się nie udało). — Proszę o wiadomość, kto i gdzie co o nim podał.

Mam już bardzo zaawansowaną powieść (parę tomów będzie), z powszednich dziejów emigracji. Dla tych co saméj ciekawości szukają będzie ciekawa, dla mniejszéj liczby nastręczy głębsze uwagi. Wielu pewnie oburzy, bo za wiele w niéj prawdy — wszystko z natury. Ale co tam samemu o tém pisać! — Alboż to Pani nie z tego samego **cechu**? Osądzisz towar! — Przez tyle lat, toć wiele doświadczenia, wiele biedy i zapatrywania się przybyło, i krew ochłodła, jeżeli nie skrzepła — oby tylko umieć dać uczuć co sam czuję — na tém sztuka! — Staram się o to.

Pani jesteś świadoma stosunków poznańskich, do kogoby się tam udać i w jaki sposób, aby wydrukować, naturalnie z korzyścią. Bo tu tak biedne położenie, że kto chce być niezależnym, z pracy dniowéj na dzień drugi żyć mysi, a o pracę ręczną coraz trudniéj.

Z naszych dawnych znajomych są tutaj: Zmorski, Lenartowicz i Cyprjan Norwid. Każdy z nich jednak swoją drogą postępuje — i chociaż w zgodzie, widujemy się rzadko. — Cyprjan Norwid wrócił niedawno z Ameryki — istna ruina tego co było: dawna duma — dawna pewność siebie starte nieszczęściami i walką. Świat może patrzy inaczéj. Alem ja dojrzał, że postęp zrobił. A pomimo to, jak'em z nim pogadał, wspomniał Warszawę... łzy nam w oczach stanęły! — A wtém głos

wewnętrzny szepnął: „Córy Jerozolimskie nie nademną, lecz nad sobą zapłaczcie!“ — Ale że ja dla siebie jestem bez litości, więc ze siebie śmiać się wolę. — Gdzież to nasze marzenia?!

Wystaw Pani sobie, że z moich warszawskich przyjaciół, kolegów, wspólników zabaw, i jak tam to wszystko nazwać — kilkunastu przez ten czas umarło! — Tak jest! Mógłbym spisać tchem jednym dwadzieścia nazwisk, z których jedni pod ziemią, inni na krańcach ziemi, na wygnaniu, na Syberji, a ci co uratowali się z powodzi!... Boże zlituj się — może lepiéj, żeby z innymi zatonęli.

Od rodziców przeszło od dwóch lat żadnéj nie mam wiadomości. — Widzisz więc Pani, że piśmiennictwo, jakkolwiek materjalnie trudne w mém położeniu, jest jednak jedyną dziś pociechą, dopóki Bóg dobrotliwy nie dozwoli doczekać się najwyższéj pociechy: śmierci za Polskę! aby inni żyć dla niéj mogli. — Wybacz Pani ten ton żałobny — ale co robić? Stał on się tak powszednim u mnie, że trudno w szerszéj pogadance z innego zagrać.

Jeżeli będziesz tak dobrą i odpiszesz mi, proszę, racz mi powiedzieć, jaką Pani pracą w téj zajmujesz się chwili. Jak Pani się zdaje, w jakim kierunku najlepiéj pisać dla nas?...? —

Jeżeli Panią mogą jakie od nas wiadomości interesować, to napisz Pani choć całą litanję zapytań — a najrzetelniéj, jak zdołam, odpowiem.

A teraz żegnam Panią z prawdziwém uczuciem wdzięczności za dobre serce i wszystko dobre czego w Waszym domu doznałem — a czego nigdy nie zapomnę.

Życzliwy sługa
J. B. Dziekoński.

Adres mój:
Mr. Dziekoński,
Paris.
(banlieu) Batignolles 23 Lemercier.“

(Dokończenie nastąpi.)

LIST WSPÓŁCZESNY
O ŚMIERCI JANA III
KRÓLA POLSKIEGO.

Oryginał następującego listu, który jako autentyk zasługuje na ogłoszenie, znajduje się w rękach p. Leona Mardfelda.

Ktoś od kogo Oznaymuie Z Warszawy dnia 30 Jun j 1696.

Oznaymuię WMMPanu, że krol JMść umarł, wsam Dzień S. Troycy, W ktory był też obrany na krolestwo. Kaduk go pomorzyl, polekarstwie Z Merkuryuszem, na ktore aż do Śmierći narzekał, że mu go zadano było przed Niedźiel kilka nie wiadomie za Radą Xdza Ludowica zpowiednika krolowy, oraz y Aptykarza Francuza, a za pozwoleniem nie wiernego żyda, Jonasza, Doktora krolewskiego. Umarł bez wszelkiey dyspozytycy praw*) nagle**) krolowa żyie, zdrowa, Francuska Rodem, (?) y Synow trzech krolewic...***) Jacob ma zonę Niemkę siostrę Cesarzowey. Alexander Młodzian Grzeczny, ale chorowity, na tęż chorobę co Oyca wymorzyła. Konstantyna jeszcze Młodego, a iuż po Francusku na..czonego,****) owo zgoła ta Franca nie chce śię Polski puśćić tak śię wni..†) zakochała. Zostawił pieniędzy y Skarbow innych wiele W Warszawie, W Wilanowie, W Malborku, W Zołkwi etc. Na kilkanaśćie Millionow,††) o ktore teraz miedzy Matką y Synami tartas, y mało nie Woyna. Niedźiw bo był Sobieski, a Oyczyźnie nie dla ktorey y grosza uronić nie chćiał, chocgo kostem y krwią swoią y Synow swych obfićie wyłaną. Sławnym wprzod Hetmanem, a potym krolem uczyniła. Odjął też Pan Bog wszelkie szczęśćie y sławę od niego, (?) dla skompstwa, (!?) że po Wiedenski, nic chwalebnego nie uczynił. Teraz śię podobno przez krola nie obędźie†††). Jeżeli trafiemy na Oszusta y Tyrana, to et nos moriemus (sic) cum eo. Zginie Rzpta y wolnośći, ktorą y teraz już powiwa wiatr. Nieutrzymając iey, ańi Primas, bo iest Femini..i††††) generis, ańi Hetmani, bo się wądzą wszyscy*) cterey, kto z nich większy a wszysci słabi, ańi Pieczętarze, bo Piiacy y prostaci; ańi Marszałkowie, bo y żon rządźić nie umieją; ańi Podskarbowee**) bo potrzebni; ańi Biskupi, bo mało się Z P. Bo...***) znają; ańi Senat bo się nauczył po chlibiać; ańi Szlachta bo ię lekce ważą, że ubodzy, y chćiwi, zalada honorem (y) piniędzmi, zawiodłby ją w niewolą. Jeden tylko sposob ratowania śię, y utrzymania, albo raczy****) przywrocenia do stanu dobrego, ktory, chiba ustnie, powiem WMMPanu, na Przyszłym Seymyku, przed konwokacyią, na ktory, chiba nie szlachćic, y nie mający yskierki miłości ku Oyczyźnie, y Brat Szlachecki nie stawi się, bo tylko ten czas Zbawienny, potym actum erit.

WMMPana
Wiadomy Podufalek.

---

*) W oryginale innym atramentem i charakterem dopisano „ie“ tak że czyta się praw*ie*, **) taksamo końcówka „le“ dopisana. ***) Dopisano jak przy *) „ow ma“ tak że czyta się „krolewic*ow ma*.“ ****) W oryg. dopisano jak przy *) „u“ i jest „na*u*czonego.“ †) Ponad „wni“ dopisano „ą.“ ††) Zdaje się iż pierwotnie było „Milionow“ potem poprawiono jak wyżéj. †††) W oryginale dodano „m“ czyta się „obędzie*m*.“ ††††) Dopisane „n“ i czyta się „femini*n*i.“ *) Było pierwotnie jak wyżéj, poprawiono na „cz*terzy*.“ **) Było pierwotnie „Podskarbi“ poprawiono jak wyżéj. ***) Dopisano jak przy *) „giem“ czyta się w oryg. „Bo*giem*.“ ****) Nadpisano „e“ czyta się „racz*e*y.“

NB.! We wszystkich tych miejscach porobione są poprawki i dopiski znacznie późniejsze i widoczne w skutek czarniejszego atramentu i charakteru pisma odmiennego.

List powyższy noszący na sobie cechę starości, powierzchownie sądząc, zdaje się pochodzić z czasu z którego datuje; papier i pismo za tém przemawiają — dziwną tylko jest treść w niektórych ustępach i szkoda że anonim.

NEMEZIS

z Dickensa.

(Dokończenie.)

IV.

Gdy Garston Westwood-house opuścił, zmuszony byłem z powodu silnéj gorączki na kilka tygodni położyć się do łóżka; teraz dopiéro zaczęła się dla mnie ciężka reakcja umysłowa po tylotygodniowych wrażeniach. Jedyne moje dotychczasowe zajęcie ustało z wyjazdem Garstona; nie potrzebowałem go już strzedz, nie miałem więc celu i myśl moja bezprzestannie przywodziła mi obraz strasznych ostatnich wypadków przed oczy.

Jak tylko mi zdrowie dozwoliło odbyć pięćdziesięciomilową podróż, wyjechałem do pana Oatway, do Exeter, gdzie Klara, córka jego, pielęgnowała mnie z całą starannością pragnąc mi powrócić zdrowie i spokój umysłu. W latach dziecinnych uważałem Klarę za siostrę, chowaliśmy się razem i razem żyć przywykliśmy, dziś zaś cieszyłem się myślą, że przyjdzie dzień, w którym zechce przyjąć imię mojéj żony. — W Exeter pozostałem rok cały; starania Klary jednak nie odniosły zupełnego skutku; w miarę jak zdrowie moje fizyczne się polepszało, umysł cierpiał coraz mocniéj; usposobienie moje niemal chorobliwe z każdym dniem rosło. Początkowo pan Oatway sądził, że powodem mego przygnębienia była śmierć matki, gdy się jednak przekonał, że ani czas, ani zwykła w takich razach religijna pociecha nie łagodziły mego smutku, ani zmniejszały goryczy mego usposobienia, — niecierpliwił się, dziwił i gniewał na przemian. W Cambridze, dokąd się po roku pobytu w Exeter udałem, uważano mnie za całkiem bezbarwnego i nic nie znaczącego człowieka, godnego politowania ogółu; to też nie wielu z moich kolegów zawiązywało ze mną znajomość, mniéj jeszcze zawiązaną przeciągało. Wprawdzie byłem pilnym studentem, ale nie odznaczyłem się nigdy niczém, coby mogło przynieść uniwersytetowi jakikolwiek zaszczyt.

Wkrótce po wyjeździe z Westwood-house do Exeter odebrałem list od Garstona, bawiącego podówczas we Włoszech. Znalazłem w nim dwie wiadomości, które mnie szczerze zasmuciły i wzruszyły mocno. Oznajmiał mi, że dał już potrzebne instrukcje swemu adwokatowi aby zapis, jaki mu zrobiła matka został spieniężonym i aby mnie spłacono, skoro dojdę do pełnoletności, gdyż, jak pisał: „nie życzę sobie mieć jakichkolwiek stosunków z panem Meredith; dwa czy trzy razy znieważył on mnie w czasie choroby Twéj matki a nie stawiam go znów tak wysoko, abym się starał odzyskać u niego tę dobrą opinję, jaką o mnie miał niegdyś może, a którą tak niesłusznie utraciłem.“

Pisał mi następnie, że polecił pewnemu zdolnemu artyście, którego imię zaczęło słynąć właśnie jako jednego z najpierwszych włoskich rzeźbiarzy, aby wykonał tablicę marmurową poświęconą pamięci matki, którą przeznaczał do kościoła w Battenham: „pomnik ten“ — tak się wyraża w swym liście — „będzie ostatniém słowem tego, co genjusz poetyczny zidealizowany uczuciem religji zdolnym jest utworzyć.“

W niespełna rok po odebraniu tego listu, staliśmy, Meredith i ja przed tą tablicą w Westwood-house; tylko co przysłano ją z Włoch. Na tak małéj stosunkowo przestrzeni umiał przecież rzeźbiarz rozwinąć gust niepośledni i talent prawdziwy z niezwykłą zręcznością i efektem; zachwycaliśmy się tym utworem, Meredith zarówno jak ja, choć on niezupełnie szczerze; niemniéj przecież zdziwił się trochę, gdym mu oznajmił, że nie miałem zamiaru odesłania tego pomnika do kościoła.

— „Sądziłem, że miałeś słabość do tego człowieka“, — zauważył — „bezustannie z nim przestawałeś.“

— „Miałem do tego dostateczne powody!“

— „Jakież to?...

Milczałem. — Prawnik gubił się w domysłach przez chwil kilka.

— „Że Garston kochał twoją matkę z głębi duszy, o tém nie wątpię, że ją nawet przez czas pewien ubóstwiał — i w to wierzę, bom starał się o tém przekonać i mam na to dowody. Ale to człowiek — chciałbym znaleść właściwą nazwę — o chorobliwym umyśle: zapatruje się na wszystko i postępuje jak ten, któremu grozi nazajutrz pomięszanie zmysłów; dwa razy, na przykład, myśli o jednéj i téj saméj rzeczy a rezultatem tych głębokich namysłów bywa zwykle jaka szarlatanerja. — Ciekaw też będę zobaczyć twoje rachunki za półtora roku.“ —

Półtrzecia roku upłynęło a pan Meredith pewnie się nie spodziewał, że nie znajdzie w księdze téj sumy, jaką był przygotowany znaleźć. Mnie to nie zdziwiło; znałem Garstona dobrze i pojmowałem owe sztuczne potrzeby, które sobie stwarzają mężczyźni. Słyszałem podczas méj ostatniéj bytności w Londynie, że grał zapamiętale i że od śmierci matki prowadził hulaszcze, pełne rozpusty życie, że brat jego umarł i że spodziewa się lada dzień objąć parostwo po wuju.

Ten, który mi udzielał tych o nim wiadomości, jeden z najlepszych przyjaciół Garstona szczerze żałował, że takim torem poszło jego życie: „a przecież“ — mówił — „młode jego lata zdawały się zapowiadać godniejsze, téj bogato uposażonéj natury, czyny. Matka twoja“ — dodał — „zupełnie dobraną była dla niego kobietą; pewnym jestem, że nigdy nie potrzebowała ściągać cugli, które w jéj ręku musiały być jedwabnemi. Zamiłowanie w życiu lekkomyślném nie stanowi bynajmniéj cechy jego charakteru, to też przyjaciele jego wiele niezmiernie liczą na powtórne ożenienie, o którém teraz myśli. Jesteśmy przekonani, że to go poprawi, on sam nawet jest tego mniemania.“

Dwa lata późniéj byłem znów w Londynie, w czasie letniego sezonu; była to podróż poślubna. Klara Oatway została moją żoną. — Pewnego wieczora byłem w teatrze Drury-Lane; przedstawienie już się skończyło, ucichły oklaski a słuchacze zaczęli już powstawać z krzeseł, kiedy poczułem że czyjaś ręka oparła się na mojém ramieniu. Odwróciłem się szybko; — Garston stał przedemną.

— „Arturze, jedno lub dwa słowa chciałbym z tobą pomówić, jeżeli nie jesteś zupełnie oczarowany tym małym człowieczkiem“, — starszy Kean dnia tego grał rolę Overreach. — „Czy sam jesteś?“

Wytłomaczyłem mu, że żona jest na obiedzie z jednym ze starych znajomych mojéj matki i że właśnie miałem zamiar iść po nią. Przy téj sposobności powinszowałem mu nowo nabytego tytułu. Był już teraz lordem Walford.

— „Zapóźno mi przyszedł“, odparł, „to też nie ma dla mnie uroku; pożądaném mi jednak jest to, co on z sobą przynosi; teraz dopiéro będę mógł spełnić przyrzeczenie dane tobie. Ani słowa... to musi nastąpić. Tablica — czy została już wmurowaną w kościele?“

— „Nie.“

Zdawał się niezadowolony; pierwszy raz spojrzał na mnie nieufnie.

„Czy mogę zapytać o przyczynę?“

„Przyczyna jaką mógłbym podać nie zdawałaby się panu dostateczną.“

„Pewnie jakie dzieciństwo“ odparł niechętnie „Pomówimy o całéj téj sprawie gdy się zobaczymy w Devonchire.“

„Czy pan masz zamiar przybycia tam teraz?“

„I to nie zaproszony przez ciebie. — Tak — w jesieni. Nie poznałeś jeszcze pani Heseldine ani jéj siostrzenicy miss Mausell?“

„Nie.“

„Istotnie? — Pani Heseldine kupiła zamek w okolicy; będziecie sąsiadować z sobą. Jest to kobiéta majętna, świat dał jéj wiele, to też wielbi go zawsze, — prowadzi dom otwarty i na wielką stopę. —

„A jéj siostrzenica?“ spytałem, bo ciekawość moja została podbudzoną.

„Jest jedném z najlepszych stworzeń jakie świat posiada. Gdy powrócisz do Westwood-house stań przed portretem matki, jednym z dawniejszych, malowanym przez Jacksona i przypatrz mu się uważnie. Podobieństwo Alicji Mausell jest uderzającém.“

Po krótkiéj rozmowie opuścił mnie. Z téj rozmowy jego łatwo wnieść było można, że nie był szczęśliwym, nie wątpił jednak aby nim nie mógł zostać; przeciwnie, — wybierał tylko między środkami dojścia do szczęścia i spokoju. Czas dał mu przekonanie, że zbrodnia jego na zawsze pozostanie światu tajemnicą. Nie wiedział, że jest człowiek na świecie, co jedném słowem może go wydać na śmierć i hańbę. Niczego w życiu nie obawiałem się więcéj jak téj władzy, którą przypadek dał mi w rękę. Czy jéj użyć? — za życia matki było to niepodobieństwem, — po jéj śmierci, zdawało mi się występkiem.

W ślad za mojém zeznaniem szedł wyrok absolutnéj sprawiedliwości, a za nim wzgarda ludzi. Dziś zaś? — dziś istniała dobra, miła dziewica, córka téj samėj co matka moja ziemi, która dziwném podobieństwem fizjognomji a może i ducha, z zmatką moją, umiała natchnąć Garstona sympatją, a co więcéj miłością...— Zdziwiłem się niemał, że okoliczności te nie wpłynęły na złagodzenie moich surowych o nim sądów; alež on odświeżył we mnie te straszne wspomnienia, które dotąd we śnie mnie tylko prześladowały. — Zajęła mnie bardzo postać miss Mausell, którą mi Garston owego wieczora naszkicował. On jéj nie powinnien zaślubić! —

Wkrótce urządziliśmy się z żoną w dworze Westwood-house. Pani Heseldine zajęła już zamek i zamierzała wstęp swój do niego uczcić zabawą, na którą wszyscy zamożni okoliczni właściciele zostali zaproszeni. Niezmiernie trafnie nakreślił mi jej obraz Garston, była to niewolnica wszystkich zwyczai, form i formułek świata, jego opinji i uczuć, jakie się do tych zwyczajów wiążą. Pani Heseldine polubiła bardzo i mnie i żonę. Byliśmy młodzi, niedawno połączeni, z giętkiemi, jak ona sądziła, pojęciami, a więc łatwo ulegający wpływom, które z nas mogą zrobić ludzi pożytecznych w towarzystwie; słowem byliśmy materjałem po jéj myśli; utwierdziłem ją jeszcze w tém mniemaniu, gdym raz powiedział, że przyjaźni kobiécéj nigdy się nie odrzuca. Łatwo mi przychodził ten stosunek, bo spostrzegłem, że żona moja i Alicja przywiązały się wzajemnie. Podobieństwo jéj do matki było zadziwiającém; jéj łagodne obejście się, jéj słodycz charakteru i jakaś smutna, jakby pełna rezygnacji, melancholja ujęły mnie w niéj i tém więcéj przeciwny byłem ułożonemu już małżeństwu. Ślub miał wkrótce nastąpić, jak o tém mówiła Alicja mojéj żonie. Pani Heseldine rzekła do mnie pewnego wieczora.

„Wielkim zaszczytem jest dla mojéj siostrzenicy, że ma zastąpić czcigodną matkę pana, choć może nie zasługuje na to.“

Obsypałem ją potokiem życzeń, jakich o ile mi się zdawało, oczekiwała. Z góry powinienem był wiedzieć, że zamiar zerwania tego małżeństwa radami i przedstawieniami był tylko niepotrzebną a śmieszną stratą czasu, mimo to nie porzuciłem mego postanowienia. Jednakże czyniłem to tak niezręcznie, że pani Heseldine słuchała mnie z niecierpliwością a może nawet i wzgardą.

„Czy lord Walford znieważył pana kiedy?“ spytała mnie wśród naszéj ostatniéj o nim rozmowy.

Milczałem.

„Pańskie spojrzenie potwierdza myśl moją. Jeżeli to uczynił, pewną jestem, że nie zrobił tego dobrowolnie. Dziś pan chcesz jemu szkodzić a najwięcéj szkodzisz i ubliżasz sobie. Doprawdy, brak mi już cierpliwości...“

Chciałem coś mówić, ale mi przerwała.

— „Powinienbyś się pan wstydzić, lord Walford zawsze mówił o panu z głębokim szacunkiem i prawdziwą przyjaźnią. Dziwi mnie to tylko i boli.“

Kiedy co przedsięwzięliśmy, choćby w dobréj sprawie, a myśl nasza się nie powiedzie, czujem się zawstydzonymi, że wmięszaliśmy się, nie pamiętając, że cel nasz był zacnym i uczciwym.

To téż i ja wtedy czułem się obrażonym na panią Heseldine i na wielkie mojéj żony zmartwienie zaprzestaliśmy dalszych u niéj wizyt.

Małżeństwo więc musiało nastąpić; przygotowania do wesela postępowały szybkim krokiem.

Wieczorem, w wigilję wesela siedziałem sam w salonie; żona udała się wcześnie na spoczynek, kiedy zaanonsowano lorda Walford; był mocno zmieniony, usiadł i chwil kilka przyglądał mi się w milczeniu.

„Arturze,“ rzekł wreszcie, — „nie sądziłem nigdy abym był zmuszony zwracać kiedykolwiek wyraz jakiego wyrzutu do syna Harriet Westwood. A przecież wyrządziłeś mi krzywdę. — Krzywda od ciebie! — była to rzecz, któréj się najmniéj mogłem spodziewać; mniéj chyba tylko sposobu, w jaki mi ją wyrządziłeś,“

„Słyszałeś więc,“ zacząłem.

„Dziś wieczorem o wszystkiém się dowiedziałem. Myślałem, że was zobaczę na moim ślubie... Postąpiłeś sobie niehonorowo i niegodnie. Cóż uczyniłem abym na podobne zasłużył postępowanie?“

„Co pan uczyniłeś?“ odpowiedziałem mocno wzruszony. — Garstonie! — i pan o to pytasz?“ Zawahałem się chwilę. „Byłbym wszelkich użył srodków, jakie były w mojéj mocy, żebym tylko pana nie zobaczył mężem téj czystéj i niewinnéj istoty.“

„Wszak równie czystą i niewinną była niegdyś moja żona.“

„Ona nią była, ale dziś już nie żyje. I pan sądziłeś, że jakikolwiek pomnik, twoją wzniesiony ręką mógłby zdobić grób jéj?“

Poskoczył ku mnie jak lew raniony; moja gwałtowność dziwną mu się wydała. Popatrzał na mnie, potem potrząsł głową i wzruszył ramionami.

Ja zaś ciągnąłem daléj.

„Pewna dziewczyna — Anna — opuściła dnia jednego dom nasz. Tegoż wieczora powróciłeś pan późno, dziwnie wzruszony. Niespokojni, w nócy stanęliśmy przed drzwiami pańskiego pokoju; — pana téj nocy w domu nie było. Był w tym samym domu ktoś, co równie jak pan nie spał i jak pan nie spędził w swoim pokoju téj nocy. Człowiek ten postępował za panem; pamiętasz pan może: wzłuż ścieżki — doliną. — Kopanie grobu — ciało Anny — pogrzebanie — wszystko! Wszystko to widział ten człowiek! Tak jest! wszystko to widziałem ja!“

Kiedy mu w twarz rzuciłem te wyrazy, rysy Garstona zmieniły się nagle, gwałtownie. Chwilę tylko przecież trwało to zdziwienie — tak, było to samo zdziwienie i nic więcéj — po nim nastąpiła wdzięczność. Padł przedemną na kolana a wznosząc ręce w górę zawołał:

„Dzięki ci! dzięki! Zawiniłem, ale ty karząc mnie dałeś mi tém samém pokutę: Wiecznie ci wdzięcznym będę! Teraz już jestem ocalonym!“

Pochylił głowę ku ziemi a głośny płacz i łkanie rozległo się w pokoju. Stałem zdala, niezdolny wyrzec ani słowa. Nie spodziewałem się takiego zwrotu. Straszniejszém to było tysiąc razy dla mnie niż to czego mogłem oczekiwać. Powstał wreszcze i podszedł do mnie.

„I ty wiedziałeś o wszystkiém a przecież pocieszałeś mnie, doglądałeś w chorobie jak brat lub syn. Trzymałeś mnie często za rękę, mówiłeś do mnie łagodnie, dodawałeś mi odwagi! Ocaliłeś mnie przed samym sobą! Czyż nie widzisz w tém ręki Opatrzności, która nie chciała abym zginął. Ty byłeś wybraném narzędziem Boga! Nie przerywaj pozwól mi mówić. Więc ty wiedziałeś wszystko?... A przecież.... Wszystko co dotąd wrzało w téj piersi, wszystko co dotąd toczyło w niéj ból nieprzejednany, zatarło się już na zawsze, wygładziło się z pamięci. Dziś nowe zaczynam życie!... Ty nie wiesz co to jest takie wyzwanie, taka gwałtowność, co te zniewagi, od których i matka twoja nie była wolną. Nie wiedziałem co czynię, kiedy ją uderzyłem, ja com nigdy na nikogo nie podniósł ręki... Uderzyłem ją i padła martwa, tam, w pobliżu kościoła. Szalałem uciekając przed trupią jéj twarzą, która w bladém oświetleniu księżyca zdawała się poruszać i ścigać mnie..“

Padł bez tchu na krzesło i zakrył twarz rękami. Probowałem go uspokoić. —

„O! gdybym był mógł wcześniéj to wszystko wypowiedzieć, niechby się było stało co chce; — ale wahałem się i sposobność minęła.“

„Jakto? przecież i dziś jeszcze jest coś do zrobienia...“

Garston snać odgadł myśl moją bo nagle zawołał.

„Arturze! niechciałbyś, nie mógłbyś odbierać mi jedynéj szansy szczęścia na tym pustym i nędznym dla mnie świecie; nie zechcesz, nie możesz pozbawiać mnie zbawienia na przyszłość. Kocham Alicję, ponieważ jest tak podobną do twojéj matki, ponieważ jest jak ona dobrą; — ona jedna podtrzymywać mnie będzie w téj rozpacznéj dla mnie przyszłości. Twoja droga matka mówi do mnie przez nią.“

Czyż mogłem oprzeć się tak wymownéj obronie?— Nie było podobna. — Przysiągłem mu, choć nie wymagał tego, że straszna tajemnica nigdy nie wyjdzie z ust moich. Mógł więc odejść w spokoju. — Nie wiedziałem czym źle, czy dobrze postąpił. Wkrótce miałem się o tém dowiedzieć. Tak jest: „drogi Jego nie są naszemi drogami!“...

— Ceremonja ślubu już się skończyła. Poszedłem do Battenham aby odwiedzić pana Meredith, którego spodziewałem się zastać w domu, gdyż o ile wiedziałem, nie był w liczbie zaproszonych na uroczystość ślubną do zamku.

Nie zastałem go jednak: powołanym był z powodu ważnych interesów, — jak mi o tém klerk oznajmił, w spojrzeniu tego człowieka było jednak coś, co obudzało moją ciekawość.

„Nakazano mi nic nikomu nie mówić na teraz, panie Westwood,“ odrzekł czytając w mojéj myśli chęć zapytania.

Zwróciłem się więc idąc bez celu, — przed siebie; doszedłem tak do środka mostku, gdy......

Straszna scena miała miejsce w zamku w chwili gdy ja rozmawiałem z klerkiem pana Meredith. — Stary prawnik stanął wsród wesołego towarzystwa, żądając widzenia się z lordem Walford w interesie wyłącznym. Lord Walford postąpił kilka kroków naprzód.

„Szczerze się cieszę z twego przybycia, Meredith. W takim dniu, jak dzisiejszy, ja przynajmniéj, wszystkich dawnych uraz i niechęci z serca zapominam. Podajmy sobie ręce. Ale czemu masz twarz tak poważną. Co to jest. Czy Artur chory?“

Zwrócił się ku bocznemu pokojowi. Meredith postępował za nim wolnym krokiem ze spuszczoną głową i pełném boleści sercem.

„A więc, mów teraz, cóż to?“

„Jest to co może być najboleśniejszego, mój lordzie. Przychodzę tu jako wykonawca prawa i przychodzę w asystencji.“

„Co pan przez to rozumiesz? Czy jacy złodzieje przybyli tu z Londynu i są wśród nas? Przybyliby zdała i po niewielkie łupy, skoro czujne oko sprawiedliwości, w osobie pana Meredith, spoczęło już na nich.“

„Nie to, bynajmniéj. Mam tu mówić o występku, nie przezemnie odkrytym. Miano wznieść tymczasową estradę dla orkiestry, do uroczystości weselnych, na gruncie pani Heseldine.

„Nie wiedziałem nawet o tém. A więc cóż?“

„Aby ją ukończyć potrzeba było zrzucić letni pawilonik, już zrujnowany.“

Walford porwał się i podladł śmiertelnie.

„Ten domek, na wzgórzu. — Kiedy kopano fundamenta nowego budynku, znaleziono ciało młodéj kobiéty...“

„Kiedy?“

„Przeszłéj nocy.“

„Cóż to mnie może dotyczyć?“ zawołał Walford cofając się o kilka kroków. Czy przeczuwał kiedy tę chwilę, że gdy nadeszła nie stracił całéj przytomności?

„Starożytna spinka, — własność pańska była w zaciśniętéj ręce kobiéty.“ —

— „Nie umiałbyś pan nigdy dojść tego,“ krzyknął Walford, — „Artur Westwood powiedział panu wszystko, — a mnie oszukał. Krew moja niech spadnie na jego głowę!“

Wybiegł z pokoju, przemknął się wśród weselnych gości, skoczył na jednego, z licznie przed bramą stojących koni i popędził naprzód szalonym galopem....

Doszedłem właśnie, jak to już wyżéj wspomniałem, do środka mostu, kiedy spostrzegłem jeźdzca biegnącego cwałem wprost ku mnie. Skoro się zbliżył do mnie i mógł już mnie poznać, wspiął konia nagle, puścił cugle i uniósłszy się w strzemionach dzikim okrzykiem zawołał dwukrotnie:

„Krzywoprzysięźca! krzywoprzysięźca!“

Koń skoczył na boczną część mostu, wyznaczoną dla pieszych i w téj saméj chwili zniknął. Spojrzałem w tę stronę... Walford skoczył w rzekę — głowę strzaskał sobie o jedną z arkad mostu.

We dwa dni późniéj znaleziono jego ciało; woda je wyrzuciła na brzegach Norland. —

Korespondencja z Florencji.

Florencja dnia 29 stycznia 1872.

(A. W.) Zapewne niejednemu z czytelników waszych dziwna się na tém miejscu wyda korespondencja florencka na pozór żadnego z celem Tygodnika związku nie mająca. Dla tego uważam za stosowne z góry uprzedzić sąd niewczesny lub domysł porywczy, że treść niniejszego listu ściśle się zgadza z chwalebnym programem pisma waszego: przedstawiać li tylko

obraz ruchu umysłowego i literackiego w Polsce.

Z tego com powiedział, każdy łatwo się domyśli teraz, że celem méj korespondencji jest powiadomienie krajowéj publiczności o pracach naszych rodaków w Italji zamieszkujących albo téż przedstawienie prac włoskich ścisły z naszą literaturą związek mających.

Zaczynam więc od prac naszych rodaków.

Pan Władysław Kulczycki od lat kilkunastu jako współpracownik wileńskiego Athenaeum, Czasu i Kraju, znany publicysta ogłosił roku zeszłego mały utwór poetyczny: Izella, dedykowany popiołom księżnéj Janiny Czetwertyńskiéj, któréj krótka improwizacja niegdyś w jego albumie zapisana, posłużyła mu za temat do kreacji dopiéroco wzmiankowanéj, a przypominającéj nam rodzaj Zygmunta Krasińskiego. Tenże sam autor ma na ukończeniu większych rozmiarów poemat pod tytułem Ixyon.

P. Teofil Lenartowicz, znany lirnik mazowiecki i polski Ghiberti drukuje w waszém mieście swe poezje z 1863 r. p. t. Echa Nadwiślańskie, o których tu zamilczam, bo sami będziecie mogli osądzić najlepiéj.

Hr. August Cieszkowski, od lat trzech mieszkający w Wenecji, zebrał z tamecznych tajnych archiwów byłéj Rzeczypospolitéj mnóstwo ważnych i ciekawych dokumentów historji naszéj dotyczących, które po spolszczeniu i uporządkowaniu w jedną harmonijną całość ma zamiar drukiem ogłosić, Co do nas wyznajemy szczerze, że radzibyśmy tę pracę jak najprędzéj oglądać, bo niemało przyniesie ona korzyści badaczowi naszych dziejów i niejednę dotąd zawiłą lub niedosyć jasną w naszéj historji okoliczność rozświeci i wyjaśni. O ile wiemy dokumenta te składają się: 1) z listów naszych królów; 2) z urzędowych przedstawień naszych ambasadorów już to przy Dożach weneckich akredytowanych, jużto przejeżdżających tylko przez tameczne miasto; 3) z korespondencji Rzeczypospolitéj Weneckiéj z naszymi królami i ambasadorami; 4) z protokułów Senatu weneckiego dotyczących, bieżących spraw i stosunków z Polską.

Teraz przechodzę do prac włoskich jużto przez naszych rodaków ogłoszonych, jużto przez życzliwych nam Italów.

Największy tutejszy dziennik literacki La Rivista Europea (Przegląd Europejski) redagowany przez uczonego orjentalistę p. Anioła de Gubernatis, profesora sanskrytu w tutejszéj akademji, a wychodzący co miesiąc w 10 arkuszowych zeszytach, stale ogłasza rewizję naszych publikacji przesłanych redakcji i podaje ogólnikowe wiadomości literackie zaczerpnięte z pism polskich.

Dr. Józef Descours w tutejszym Przeglądzie filozoficznym, redagowanym przez wice-prezesa senatu Terencjusza Mamiani, ogłosił kilkunasto-arkuszową bardzo uczoną rozprawę i z wszelką znajomością przedmiotu napisaną: O wpływie filozofji na polityczne wykształcenie Niemców, któremu wpływowi w IIIciéj części swéj pracy pomiędzy innemi przypisuje i to, że mniéj więcéj każdy szlachcic pruski bez skrupułu o honor swego blazonu skrupulatnie spełniać może czynności szpiega we Francji, a agenta prowokatora w Polsce.

W roku zeszłym został tutaj ogłoszonym w tłomaczeniu italskiém pierwszy romans polski dzięki patrjotycznéj pracy ś. p. Zofji Lenartowicz, małżonki znanego poety-rzeźbiarza. Wybór padł na Emissarjusza J. I. Kraszewskiego, który w języku italskim dostał tytuł następujący: **La Spia**, Rimembranza dell'anno 1863 di B. Boleslavita tradotto del Polacco da S. L.

Na wstępie powieści dość szczęśliwie przyswojoném językowi włoskiemu umieszczone jest objaśnienie przez Hektora Marcucci, o którym niżéj mówić będziemy, z jakiego w dosłowném tłomaczeniu przytoczyć tu następujący ustęp uważamy za stosowne:

„Autor opowiadania, które teraz podaje się do wiadomości Italów w ich rodzinnym języku, chociaż jest jednym z najpierwszych pisarzy w Europie, jest zupełnie obcym w Italji. Przez jego pseudonim Bolesławita wszyscy w Polsce rozumieją pana J. I. Kraszewskiego, bardzo głośnego powieściopisarza, historyka, publicystę i poetę, który od 30 lat (powinno być od lat 40) wzbudza powszechny podziw i sam, możnaby powiedzieć, podnosi umysły tego nieszczęśliwego narodu z strasznego upadku, w jaki go wepchnęły zawistne losy. Nieoceniony i niezmordowany talent!“

„Jego romanse liczą się już na setki, a wszystkie pisma jego mogłyby złożyć bogatą bibljotekę mogącą się nadzwyczaj podobać czcicielom wszystkiego co piękne i prawdziwe w sztukach, filozofji, historji i w tylu innych naukach. Chcąc wyliczyć po szczególe wszystkie jego prace, zanadtobyśmy się rozszerzyli tutaj i dla tego odsyłamy czytelników do Biografji słynnych Europejczyków, w któréj dzielnemu Polakowi przeznaczone jest piękne miejsce, godne jego zasługi.“

„Obecne opowiadanie noszące tytuł Emissarjusz wyjętem jest z współczesnéj historji nieszczęśliwéj Polski i wiernie wyraża wszelkie cechy prawdy i nic takiego nie zawiera, coby było albo zanadto wyegzażerowaném, albo téż nie było wyjętém z dziejów polskiéj martyrologji.“

„Inną nie małą zaletą książki jest i to, że była tłomaczoną przez Polkę i że dla tego nie ma obawy, aby oryginał był źle zrozumianym lub przekręconym. Pani Zofja Lenartowicz, która razem z mężem, słynnym poetą, od lat kilku Italję za swą ojczyznę adoptowała, a naszą piękną Florencję za miejsce pobytu wybrała, miała czas poznać się z naszym językiem i poznać gruntownie literaturę włoską — tém bardziéj, że znała już dobrze język francuzki i niemiecki... Biorąc się do tłomaczenia (z postanowieniem niewyjawiania swego nazwiska) chciała dać się wynurzyć uczuciom swego gorącego patrjotyzmu, jakiemi była przepełnioną i dać Włochom małe wyobrażenie o tém, co się dzieje w jéj kraju. „Jeżeli spodoba się ta pierwsza praca, mawiała często, przetłomaczę potem inne opowiadania, a jeżeli nasze nieszczęścia poruszą tym sposobem niektóre umysły we Włochach, praca moja będzie sowicie wynagrodzoną.“

„Nieszczęśliwa! Jeszcze nie skończyła poprawiać swego manuskryptu, gdy ją śmierć zaskoczyła w 44 roku życia, dnia 7 lipca 1870...“

„Publikując niniejszą pracę unikało się stylowych poprawek, aby tym sposobem nie zmienić charakteru a chociaż napisaną była corrente calamo wydaje się nam jako droga po zmarłéj spuścizna, która jeżeli nie obfituje w kwiaty wymowy, bynajmniéj nie razi brakiem swobody i czystości stylu, — a nadto przedstawia jeszcze tę korzyść, że jest dosłowném tłomaczeniem... H. M.“

Wreszcie notujemy tu jeszcze inną publikację italską, która nas bliżéj obchodzi; tak o jéj treści jak o autorze czujemy się w obowiązku słów kilka powiedzieć:

Treść tego pięknego pod względem wydania tomiku zatytułowanego „Poesie Polacche“ di Teofilo Lenartowicz, recate in versi italiani da Ettore Marcucci. Florencja 1871 pag. XXI i 173 in 12° jest następującą: na pierwszéj stronie umieszczoną jest dedykacja brzmiąca jak następuje:

Heroicznemu i nieszczęśliwemu

Narodowi polskiemu

tłomacz tych patrjotycznych natchnień
z szacunkiem i współczuciem.

Następnie idzie dwudziestostronnicowa przedmowa, w któréj autor przedstawia stan obecnéj poezji — zasługi niektórych poetów (bo wielu współczesnych brakuje pomiędzy wymienionymi przez p. Marcucci) z bieżącego wieku, a w szczególe p. Teofila Lenartowicza; wreszcie po 15

utworach różnéj formy, treści i długości, umieszczone są dopiski ciekawe w ogóle, a w szczególe bardzo cenne dla filozofow, bo ich uczą naszéj historji i opowiadają różne zajmujące szczegóły. W dopiskach tych oprócz dwóch sonetów napisanych na cześć zmarłéj Zofji Lenartowicz przez Hektora Marcucci, znajdujemy krótkie biografje Mickiewicza, Bema, Lenartowiczowéj — wreszcie opis prezentu zrobionego przez Mikołaja Igo Grzegorzowi XVI za brewe z 15 sierpnia 1832 wraz z ocenieniem tego faktu przez sławnego toskańskiego pisarza Guerrazzi, które tu powtarzamy: „Polacy są posłuszni swéj wierze, lecz w sercu nazywają bratem Kaifasza tego niefortunnego papieża, który od cara Mikołaja otrzymując w darze Chrystusa złotego przybitego do krzyża gwoźdźmi wysadzonemi rubinami, zgodził się z nim na ukrzyżowanie Polski gwoźdźmi żelaznemi. Pontyfikat nie czyni świętym niegodnego kapłana, a Pan rozpędził rodzinę Helego z przyczyny jéj grzechów; kapa nie pokrywa występków innych, a tém mniéj własnych. Tego nas naucza Pismo św."

Samo dzieło składa się z następujących poezji bardzo wdzięcznie i wiernie oddanych w języku Danta: „Rzymskie Pole" „Zachód Słońca" „Schody Przepaści", „Pożegnanie", „Poeci w Kolizeum", „Łuk Tytusa", „Quo vadio", Kopuła św. Piotra", „Jubileusz Dantejski", „Początek sztuk", „Dusza sieroty", „Poeta i jego narzeczona", „Cyganka", „Branka", „Trzy siostry."

Oprócz „Schody Przepaści", „Poeci w Kolizeum", „Kopuła św. Piotra", „Początek Sztuk" i 3 i 6 pieśni, a także i epilogu „Branki", które dotąd nie były w języku ojczystym ogłoszone, wszystkie inne utwory znamy z Albumu włoskiego przed 2 laty ogłoszonego we Lwowie.

Na czele tych poezji umieszczony jest dedykacyjny sonet ofiarowany przez tłomacza naszemu lirnikowi, który w dosłownem tłomaczeniu brzmi jak następuje:

I oto mówią, że Polska umarła,
Lecz cały naród i któż zabić może,
Próżnemi czyni Bóg tyranów spiski,
W grobie się zdała Italja, dziś żywa (rissorta).

Cnota, nieszczęśni, w was się nie zatraci,
Pod ołowianym biczem, co was siecze,
Nieszczęścia wzmagają i los okrutny
I do szlachetnych przedsiewzięć prowadzą.

O Teofilu mój! Ty niedaremno
Sprawiasz, że Dante, Ghiberti ożywa
W dziełach Twojego i ducha i ręki.

Ty sam szlachetny nad brzegiem Arna
Niepomnéj Europie, próżnemu wieku
Starczysz, by wskazać, że Polska jest żywa.

Tyleśmy powiedzieli o pracy Hektora Marcucci, należy téż i o jego osobie niezapominać i w kilku rysach przedstawić go naszym czytelnikom. Pan Marcucci, około 50 lat życia liczący, od saméj młodości zajmuje się ciągle poezją i literaturą, różne i bardzo zmienne przechodząc koleje. Urodzony w San Severino, mieście w Marchji Ankonitańskiéj, w Maceracie pobierał nauki gimnazjalne, w Rzymie zaś uczęszczał na wydział prawny tamecznéj Sapiencji. Przed skończeniem jednakże kursów złudzony swym dźwięcznym śpiewem i muzykalnym talentem, oddał się zawodowi dramatycznemu i jako artysta-śpiewak przez lat kilka zbierał wawrzyny po najpierwszych włoskich teatrach w Sycylji, Neapolu, Rzymie, Bolonji etc. Sława jego tak była już udoskonaloną że otrzymał miejsce w zagranicznéj operze i właśnie miał ojczyznę opuszczać, gdy cierpienia nerwowe tak silnie się w prędkim czasie rozwinęły, iż zmusiły go do porzucenia obranéj karjery i do oddania się profesorstwu, które przy znajomości kilku języków, zwłaszcza łacińskiego, francuzkiego, angielskiego, portugalskiego i literatury rodzinnéj, mogło mu i jego rodzinie zapewnić utrzymanie. Oprócz mnóstwa literacko-naukowych artykułów, ogłoszonych w różnych pismach perjodycznych, oprócz zebrania, uporządkowania i opublikowania pism swego profesora Lucjana Rocchi, ważniejsze prace poetyczne Hektora Marcucci są następujące: „La Martire di Mugnario", „Vita di S. Pacifico, Racconto o Episodio di Storia Domestica", „Le Lagrime d'un Caeti", tłomaczenie z portugalskiego „Saffo e Faone" tłomaczenie z hiszpańskiego. Hymn narodowy: Il Giuramento, 1859 roku napisany; hymn narodowy na cześć męczenników niepodległości włoskiéj w 1865 r. i wiele innych pomniejszych poematów jużto oryginalnych, jużto tłomaczonych. Z dzieł dydaktyczno-literackich ważniejsze są „Listy wydane i niewydane" Filipa Sonetti wydane w 1855 i „Listy celniejsze Hanibala Caro do użytku szkolnego zebrane i objaśnione przez H. M. w 1859.

Dodać należy, że oprócz Poezji Polskich niedawno co drukiem ogłoszonych, p. Marcucci ma jeszcze inne tłomaczenie z obszernego i u nas nieznanego utworu p. Lenartowicza p. t. Spartak, który obiecuje ogłosić wtedy tylko, gdy obecna jego praca przychylnie przez publiczność przyjętą zostanie. Aby przyspieszyć zapowiedzianą publikację sądziłbym, że nasza publiczność winna przyjść w pomoc autorowi przez zakupienie ze stokilkadziesiąt exemplarzy (exemplarz kosztuje 3 franki) obecnéj pracy, aby tym sposobem zebrane pieniądze a wycofane z pierwszego nakładu mógł użyć na nowe dzieło, które tylko chlubę naszemu narodowi przynieść może.

Od kilku miesięcy bawią tutaj dwaj wasi artyści malarze pp. Łaszczyński i Kazimierz Szolc. Temi dniami mieliśmy sposobność zwiedzenia pracowni tego ostatniego i byliśmy zdziwieni mnóstwem szkiców i prac zaczętych jakie jużto farbami olejnemi, jużto akwarelami, jużto kredką i ołówkiem wykonał.

Zaprawdę rzadko nam się zdarzyło widzieć podobną fantazję, a szczególniéj twórczą płodność nie tylko w artyście w ogóle, ale w tak młodym artyście, jak pan Szolc, w szczególe. Z kilkudziesięciu szkiców szczególniéj się odznacza Ludwik XIV z żoną, Za kulisami, Koronacja Walenroda, z obrazów zaś zaczętych kompozycja rodzajowa Śmierć Skąpca bardzo przynęca oko swym smakiem artystycznym i scenicznym efektem.

POKŁOSIE.

— Dowiadujemy się, że Ant. Sozański wykończa chronologiczno-systematyczny rejestr do 4, 5, 6 i połowę siódmego tomu voluminów legum (od elekcji Jana Kazimierza 1648 aż do sejmu r. 1766). Tenże sam autor wydał dawniéj rejestr do dzieła Sołtykowicza „O stanie akademji krakowskiéj."

— Nadesłano nam z Żytomierza następujące prace pana Gottfryda Ossowskiego: 1) „Geologiczny zarys Wołynia"; 2) „Z notat podróżnych o Żytomierskim i Owruckim powiatach" (ta praca umieszczona w roczniku wołyńskiego gubernialnego statystycznego komitetu za rok 1867); 3) „Z notat podróżnych po Wołyniu"

1870 r., nakładem księgarni Konstantego Budkiewicza w Żytomierzu. P. Ossowski jest urzędowym geologiem gubernjum Wołyńskiego; z ramienia więc rządu wysyłany na wędrówki po kraju, ściśle się w nich trzymał programu z góry nakreślonego, t. j. zbadanie pokładów ziemnych w różnych miejscowościach gubernjum i wyjaśnienie przyczyn, mogących spowodować podniesienie przemysłu fabrycznego i rolniczego w dotyczących okolicach (co za pieczołowitość rządów carskich?!). W dziełkach więc jego spotkać się można z wielu zajmującemi szczegółami tak z dziedziny gospodarstwa społecznego, jako też geologicznych spostrzeżeń. Największy nacisk kładzie autor na architekturę ludową i pomnikowa, fabryki żelaza lanego i fabryki fajansów. Wykazuje dość przekonywująco, jak bogato oba brzegi Teterowa uposażone są grubemi pokładami najprzedniejszego granitu, którego dotychczas prawie wcale nieużytkowano ani na budowle gospodarskie, ani też na zakłady publiczne i pomniki. Opisuje stan hut żelaznych, sposoby ich podźwignięcia i lepszego wydobywania rudy żelaznéj, znajdującéj się wszędzie w zwiedzanych przez niego okolicach, bardzo blisko pod powierzchnią pierwszego pokładu; następnie moc i doskonałość glinki fajansowéj, z któréj wyroby dorównać mogą zagranicznym.

Dwa by można było uczynić zarzuty autorowi:

pierwszy — że pomimo bogactwa treści i saméj przez się interesowności przedmiotu w niéj się mieszczącego, niepotrzebnie opowiadania swoje poprzeplatał anegdotami i przepowiastkami;

drugi — że będąc Polakiem i mając obowiązek pisania dla rodaków, napisał po moskiewsku. Tak. Ten zarzut bolesnym jest i dla niego, i dla nas· władztwo moskiewskie wydziera od nas talenta rodzime i rzuca je na usługi obcéj mowy i obcych interesów.

— O modlitwie Józefa Słowackiego p. n. „Genezis z ducha", wydanéj niedawno temu nakładem F. H. Richtera pisze pomiędzy innemi J. I. Kraszewski do „Kraju": „Piękny to obłamek myśli, ale niewykończony w budowie, niejasny w szczegółach, a w ogóle co do pojęć, które pewnego ściślejszego określenia wymagały, mętny. Chwila, w któréj się „Genezis" zrodziła, była właśnie tą ciekawą metamorfoz ducha polskiego godziną, w któréj mistycyzm nim owładnął. Towiański chciał poprawić ewanielję, Słowacki jak Mickiewicz roił o nadaniu idei chrześcijańskiéj nowéj formy, którąby Polsce nową siłę wlała." — W historji ducha naszego jest to moment wielkiego znaczenia, dowód niezmiernéj boleści co go zrodziła. Ziemia nam wszelkiéj pociechy i nadziei, odmawiała, szukaliśmy jéj w niebiosach; mądrość nie ukazywała przyszłości lepszéj, wieścili nam ją prorocy. Dziś zeszliśmy z nich na rachmistrzów i apostołów pythagoresowéj tablicy. — Słowacki w téj „Genezie z ducha" jest całkowicie człowiekiem owéj doby, którą uosabia.... dziś od nas dalszy pojęciami niż laty. Stoi on jeszcze na stanowisku wysokiém Polski bohaterskiéj, z któréj zeszliśmy na żebraczą, proszącą u narodów o przebaczenie przedłużonego życia — ich, nie naszych grzechów. Genezis jest jakby duchowym testamentem Juljusza i epoki.... ostatniem pożegnaniem odlatujących marzeń w chwili przebudzenia do rzeczywistości.

— Prospekt. — Teka Narodowa (Nr. II.). Sprawa polska ze stanowiska różnych zdań europejskich przedstawiona z przedmową Karola Forstera.

Przemoc przed prawem, oświata przed przemocą!

Wielkie wypadki, które od roku postać Europy zmieniły, usunęły też na chwilę kwestję polską z widowni politycznéj i posłużyły nawet wrogom naszym, z powodu nierozważnego współudziału kilku naszych rodaków w najohydniejszym dramacie tegoczesnym, do chwilowego nadwerężenia téj żywéj sympatji, jaką nam szlachetna część Europy od r. 1831 bez przerwy życzliwie okazywała.

Ale niszcząca zawierucha przeminęła i już się oczy na prawdziwe położenie rzeczy po tym przetworze otwierającym wrota do nowych zawikłań, rozjaśniać zaczynają a lotna myśl, ze szczytu nawet dymiących jeszcze zwalisk, wpatruje się już żarliwie w tajemnice przyszłości. W téj to przyszłości kwestja Polska odżyje i odżyć musi, jeżeli świat nie ma wyrzec się na zawsze wszelkiéj wiary w sprawiedliwość i w uczucie honoru. Kwestja ta zajmie znów to stanowisko, z którego ją występna przemoc zepchnęła, a na które ją znów mądra, chrześcijańska polityka w dobrze pojętym interesie równowagi europejskiéj powołać musi.

Naszą to zwłaszcza jest misją, którzy od lat 40 wiernie téj sprawie na ziemi wychodźtwa służymy, naszym jest świętym obowiązkiem, nietylko odnawiać i wykazywać jéj ważność przed oczyma Europy, ale i pomiędzy nas samych przynosić krajowi to co się z obcéj niwy w nauce i w doświadczeniu zdobędzie, aby z tych obcych, lubo często wielce surowych i nam nieprzyjaznych, ale obok gromów nienawiści i niejedne użyteczne nam być mogące prawdy i nauki zawierających zdań i krytyk, wydobyć to, co dla przyszłości Ojczyzny naszéj zbawiennem być może, — co może sprostować nasze własne poglądy na naszą sprawę, często w zbyt osobistych granicach się obracające, a ztąd też często w zastósowywaniu niepraktyczne lub niewczesne.

Nie dość jest stawiać nasze tylko pretensje i prawa na widok publiczny; trzeba jeszcze przed głoszeniem onych zdawać sobie dokładnie sprawę z tego, jak nasze życzenia i nasze prawa oparte na historycznych tradycjach są dziś uważane przez obecną tak wielce moralnie i politycznie przekształconą Europę, przez ludzi myślących, różnych opinji, którzy w publiczności mają znane imię, abyśmy z ich uwag, o ile takowe są słuszne, choćby nam nie schlebiały, umieli korzystać i unikać tych błędów i win, które się z naszéj strony do upadku sprawy narodowéj tak znacznie w przeszłości przyczyniły.

W téj myśli przynoszę ten drugi numer trzeciego oddziału mego wydawnictwa pod tytułem „Teka narodowa."

Tom ten składać będą następujące przedmioty:

Przedmowa

I. Kwestja polska:
ze stanowiska Polaków,
ze stanowiska Rosjan,
ze stanowiska Europy.

II. Odezwa do Rosjan i do Polaków.

III. Niemcy, Prusy i Austrja w obec Polski.

IV. Anglia i Polska. Polityka nieinterwencji.

V. Potrzeba Polski dla Niemiec.

VI. Francja i Polska.

VII. Głos obywatela z Królestwa.

VIII. Kwestja porozumienia.

IX. Żywotność Polski.

X. Zadanie obecnéj chwili.

* * *

Dzieło p. n. Sprawa polska wyjdzie w ciągu marca rb. Cena onego dla suskrybtorów: 1 tal. 15 sgr. (3 zltr.), po wyjściu cena będzie 2 tal. (4 zltr.)

Lista subskrypcyjna zamkniętą zostanie dnia 15 lutego rb.

Subskrybować można u wydawcy, K. Forstera, w Berlinie 24 Leipziger Strasse, przesyłając należność w liście frankowanym lub przez asygnację pocztową.

Berlin, dnia 25 stycznia 1872. K. Forster.

— W księgarni J. K. Żupańskiego co tylko wyszły: „Moje wspomnienia o życiu towarzyskiém w Warszawie" przez Paulinę z L. Wilkońską. — Wspomnienia pani Wilkońskiéj są niezaprzeczenie cennym materjałem do dziejów obyczajowych naszego narodu w najnowszych czasach. Niemniéj budzą one zajęcie i jako szczegóły o najsłynniejszych ludziach literackiego ówczesnego świata, w którym pani Wilkońska się obracała.

— Dr. Daniel Wierzbicki, adjunkt obserwatorjum astronomicznego w Krakowie, wydał dziełko p. n. „Użycie globu. Zbiór zagadnień dających się rozwiązać za pomocą globu ziemskiego."

— Nakładem Ludwika Merzbacha wyszła powieść dla ludu na podaniu i dziejach osnuta przez Dragomira Zana p. n. „Drzewo wisielca." Dzieło to skonfiskowane przez tutejszą policję, wydane zostało w skutek wyroku trzeciéj instancji.

— Ks Władysław Siarkowski przygotował do druku rękopism p. t. „Opis grobów znajdujących się pod kościołem NPM. w Kielcach." Rękopism ten miał nabyć pan Goldhaar księgarz tameczny.

— Dr. Artur Wołyński napisawszy w języku włoskim broszurę polemiczną o Koperniku, zajmującą cztery do pięciu arkuszy druku, — poszukuje nakładcy. Odnosząc się do rozprawy księdza kanonika Polkowskiego, zamieszczonéj w Dzienniku

Poznańskim, p. n. „Sąd Cezarego Cantu o Koperniku“ i do uzupełnienia téjże ustępem z pracy dra Wołyńskiego, zawartym w Nrze 2 i 3 naszego Tygodnika r. b. — oświadczamy gotowość naszą w pośredniczeniu z autorem, którego broszura prostuje błędne o naszym astronomie zdania, rozpowszechnione nietylko we Włoszech, ale i w całéj Europie, która o wszystkiém co nasze wie zazwyczaj bardzo nie wiele, a często jeszcze mylnie.

— W téjże saméj materji Nr. 3 pisma niemieckiego „Magazin für die Literatur des Auslandes“ czyniąc wzmiankę o Przyczynkach do rozstrzygnięcia kwestji dotyczącéj narodowości **Mikołaja Kopernika**, które rozebraliśmy w Nr. 1 naszego pisma, — twierdzi z właściwą sobie bezczelnością, że my Polacy staramy się przywłaszczyć sobie wielkiego astronoma.

— **P. Pietraszewska**, synowica orjentalisty Pietraszewskiego, ma wkrótce ogłosić dziesięcioletnią podróż stryja swego po Wschodzie, która dotąd leżała w rękopiśmie.

— **J. Lissner** w **Poznaniu** wydał katalog książek nowych i antykwarskich, dotyczących przeważnie **rzeczy polskich**.

* * *

— Wyszło w Poznaniu **Ryszarda Wegnera** dzieło niemieckie p. n. „Ein Pommersches Herzogthum und eine Deutsche Ordens-Komthurei“ z którém zamierzamy czytelników naszych bliżéj zapoznać.

— Dnia 26 stycznia miał p. **Wojciech Jarochowski** na sali poznańskiego Bazaru odczyt o Agrypinie, matce Nerona, cesarza rzymskiego. Odczyt ten nie wiele ściągnął słuchaczy.

— P. **Tomasz Pryliński**, inżynier towarzystwa rólniczego krakowskiego rozpoczął druk „Tablicy ściennéj systematu metrycznego,“ tudzież broszurkę o tym systemacie. (Kraj).

— P. **Władysław Mickiewicz** wydał w tych dniach jeden tom nie znanych francuzkich prac ojca swego Adama. W tym roku zaś zamierza ogłosić prelekcje ojca o literaturze łacińskiéj w Lozannie w Szwajcarji. (Dz. Pozn.)

— **Gazette des Etrangers**, dziennik francuzki, wychodzący od dwóch miesięcy w Wiedniu, założony został w celu popierania wystawy wiedeńskiéj 1873 r. Staranna redakcja, doskonały druk i prześliczny papier rokują powodzenie dziennikowi, który liczy już nie małe grono czytelników. Część polityczna redagowana jest, jak widzimy z pierwszych numerów, w duchu anti-bismarkowskim i anti-moskiewskim. Referentem do spraw słowiańskich w téj gazecie jest nasz rodak p. Br. Wo. — Znajdujemy w niéj korespondencje ze Lwowa. Czytelnicy polscy dowiedzą się z prawdziwą przyjemnością, że Gazette des Etrangers oświadcza się otwarcie ze swemi sympatjami dla sprawy polskiéj. Z tego względu wiedeński organ francuzki może liczyć na poparcie naszego kraju. (Gaz. Nar.)

— **Deotyma**, jak donosi Opiekun domowy, napisała: Powrót gołębia i takowy deklamowała na koncercie Moniuszki i Kątskiego danym na korzyść niezamożnych studentów uniwersytetu warszawskiego.

— Wychodząca w Warszawie „Niwa“ zamieszcza w swoim pierwszym numerze rozbiór krytyczny powieści **Walerji Marrené** p. n. „Bożek Miljon,“ któréj treść jest następująca:

„Cecilja guwernantka wydalona z domu hrabstwa Horeckich z powodu podejrzenia o chęć podbicia sobie serca ich syna Wilhelma, doznaje opieki od robotnika Kiljana. Okazuje się wkrótce, że Kiljan jest synowcem hr. Horeckiego który mu tego zaprzeczył, chcąc zrujnowaną fortunę majątkiem Kiljanowi przypaść mającym, podreperować. Ojciec Kiljana ożeniwszy się w Valparaizo, stracił tam żonę, a wróciwszy do kraju pozwolił bratu korzystać ze swego majątku. Kiljanowi nadskakiwano w domu, gdzie pokochał kuzynkę Amelję. Po roku ojciec jego umarł. Kiljan nie mógł być przy śmierci, bo go Amelja pociągnęła w cienisty zakątek ogrodu i wyznanie jego miłości przyjęła. Nie znaleziono potem żadnego dowodu, że Kiljan był istotnie synem zmarłego. Musiał dom swego stryja opuścić, nie chcąc z nim wchodzić w układy; nie porzucił atoli myśli dochodzenia praw swoich i przy zdarzonéj sposobności, gdy u sługi ojca swego odnalazł kopję potrzebnych dowodów wytoczył proces grabicielowi. W trakcie tego stryj umiera, hr. Wilhelm po bezskuteczném usiłowaniu zamordowania Kiljana zastrzeliwa się, a stryjenka i hr. Amelja zrzekają się nieprawnie przywłaszczonéj własności. Kiljan żeni się oczywiście z Cecylją.“

— „Gwiazdka Cieszyńska“ gorącemi słowy dzieli ogólny smutek całéj Polski. „My Szlązacy — powiada — jako gałęź dawniéj już od Polski oddzielona, ale językiem, obyczajem, nieskażoną wiarą i nadzieją z narodem polskim ściśle złączeni, podzielamy te uczucia, które dziś każde polskie serce napełniają. Chociaż byliśmy pierwéj od Polski politycznie oderwani, nigdy jednak nie przestaliśmy być częścią narodu polskiego i przez upadek Polski cierpimy pod względem narodowym zarówno ze wszystkiemi dzielnicami polskiemi. Dla tego i my Szlązacy mamy przyczynę do smutku nad czynem dokonanym na Polsce.“ Gwiazdka radzi w końcu Szlązakom wstrzymać się w tym roku od balów i hucznych zabaw publicznych.

— Pp. **Bartynowski** i **A. Zalewski**, zamierzają wydać w Krakowie wyczerpujący „Słownik artystów polskich, sztycharzy, drzeworytników, rzeźbiarzy i malarzy.“ Słownik „budowniczych“ ma gotowy p. **Bolesław Podczaszyński** w Warszawie (Kur. Pozn.)

— Odebraliśmy **Sprawozdanie z dwóch lat szkólnych 1869/71 szkoły wyższéj polskiéj w Paryżu**. — Po ostatnich wypadkach smutne w nas budzi wspomnienia każdy objaw życia polskiego we Francji, skąd przez tyle lat wyglądaliśmy zbawienia. — Co zresztą znaczą instytucje polskie za granicą, które krajowi ani jednego dotąd nie dostarczyły człowieka? Słyszymy o synach emigrantów polskich, którzy nie władając nawet językiem ojców swoich lub władając nim słabo, nic prawie w sobie polskiego nie zachowali. Instytucje więc polskie w Paryżu wyrabiają pożytecznych dla Francji obywateli kosztem kraju, który się łudzi nadzieją, że z nich jakąkolwiek pociechę mieć będzie.

— Ze sprawozdania z czynności wydziału stowarzyszenia rękodzielników lwowskich **Gwiazda** w ciągu roku 1871 wypisujemy następujący ustęp świadczący o czynnościach naukowych towarzystwa:

„Wydział uznał za konieczne, nauczycielowi kaligrafji, co dawniéj opłacaném nie było, zawdzięczając bezinteresownéj pracy p. Amstera Oswalda, powołać w roku zeszłym na nauczyciela kaligrafji pana Juljusza Stanka, wyznaczając mu ugodzoną opłatę. Miejsce nauczyciela śpiewu zajął za podwyższoną płacą pan Brodowski, nauki elementarne jak dawniéj przez członków towarzystwa oświaty ludowéj udzielane były; naukę prowadzenie ksiąg rachunkowych udzielał członek nasz honorowy pan Medvecky, naukę tańca udzielali pan Kawecki i p. Lewicki. Przy wzmagającéj się liczbie członków przyjdzie nam i tu płatną przybrać pomoc. Na naukę rysunków i chemji uczęszczają członkowie na wykłady do szkoły przemysłowéj. — Wydział również jak w roku zeszłym, zapraszał co kwartał mężów nauki dla ułożenia za ich radą niedzielnych wykładów i wyjednania za ich pomocą szlachetnych, a światłych mężów w każdym dziale naukowym i te wykładali: z hygjeny p. Dr. Dobieszewski, z nauk moralnych radzca szkólny p. Juljusz Starkel, z nauki fizyki p. Dr. Strzelecki Feliks, zastępca dyrektora akademji technicznéj, wykłady z ekonomji politycznéj kurator nasz, pan Tadeusz Romanowicz, naukę religji, jak zawsze co poniedziałek, wykładał kurator nasz ks. Florenty Lickendorff, kaznodzieja zebrania OO. Dominikanów, o potrzebie nauk i szkół wykładał p. Stanisław Chlebowski, dyrektor szkół realnych. Życiorysy mężów z przeszłości zasłużonych krajowi opowiadał w kilku wykładach p. Dr. Zawadzki Władysław. Wspomnienia z dziejów narodowych podejmował w przypadające rocznicy prezes stowarzyszenia Mieczysław Darowski.“

— W programie lutowego posiedzenia Towarzystwa antropologiczno-archeologicznego wiedeńskiego czytamy zapowiedziany odczyt dra Hermana Biegla obejmujący sprawozdanie z jego wycieczki archeologicznéj do **Wielkopolski**. (Kur. Pozn.)

— **Andrzéj Pruczyński**, zdolny i na wzorach włoskich ukształcony rzeźbiarz, wykonywa obecnie medaljon portretowy śp. hrabiny Tomaszowéj Łubieńskiéj z marmuru kararyjskiego. Dłuta tegoż artysty pomnik dla śp. **Juljana Bartoszewicza** wmurowanym został w filar głównéj nawy kościoła PP. Wizytek w Warszawie. Przy téj sposobności nadmienić musimy, że do pokrycia kosztów tego zbiorowemi siłami stawianego posągu brak jeszcze 45 tala-

rów. Może miasto nasze, które, o ile nam wiadomo, w téj składce żadnego nie wzięło udziału, zechce brak ten pokryć.

— Tygodnik illustrowany rozpoczął rok nowy pięknym drzeworytem z obrazu „Dzieci“ Matejki, którego oryginał Lwów i Kraków w zeszłym roku podziwiały. Kłosy dały w tym samym czasie obraz również Matejki: „Zygmunta i Barbarę“ znaną nam z premji Strzechy i rodzajowy obrazek „Ostatnia chudoba“ prawdziwego poety-malarza Kotsisa, z którego kompozycji dziwnie rzewne a proste płynie uczucie.

— John Brokley wynalazł lokomobilę poruszaną ciśnieniem powietrza.

— L. Marek wydał kompozycję p. n. „Legende vom Könige Boleslaus und Stanislaus dem Heiligen.“ (Vest. bibliogr.)

— Offenbach napisał nową operetkę p. n. „Boule de neige.“

Przedpłaciciele

na książkę pamiątkową naszego wydawnictwa:

226.	Wny Stefan Dobrogoyski z Prusinowa pod Robakowem	1 egz.
227.	Wny Józef Drożyński w Zemlinie	1 „
228.	Wny Franciszek Hauer w Zemlinie	1 „
229.	A... J.... z Bo...	1 „
230.	Wny Władysław Ossowski z Montowa pod Lubawą	2 „

Skrzynka do listów.

— Autor drukującéj się obecnie w Tygodniku Wjelkopolskim wstępnéj pracy najmocniéj i najserdeczniéj uprasza tego z szanownych rodaków, przebywających na wychodźtwie we Francji, a zwłaszcza w Paryżu, któryby miał możność po temu a zechciał uczynić przysługę literaturze ludowéj, aby się dowiedział o adres pani Markowiczowéj (pseudomym jest Marko Wowczek). Czy nie wiedziałby co o niéj pan Turgieniew? Wiadomość nprasza się nadesłać albo wprost na ręce redakcji, albo na imię autora.

— Paniom M... Dz... pod W...., A.... D... z B.... pod T... i X. J... C.... z P..... pod M....: Za przesyłkę naszą, którą prosimy przyjąć od nas, nic nam się nie należy.

— Przypominamy się p. p. Ja.... Ke....... z Ja.... pod Lu..... i Wł....... Łu...... z Mi.......

— Panu Drożyńskiemu w Zemlinie serdecznie dziękujemy za okazywaną nam życzliwość. — Zamiast żądanego numeru, który już wyczerpany, zechciéj Szanowny Pan przyjąć cały zeszyt.

— P. A.... S...... z S.....: Odebraliśmy Jego pracę, o zamieszczeniu któréj później doniesiemy. — Dziękujemy za łaskawe zajmowanie się naszym Tygodnikiem. — Podzielamy życzenie ażeby p. Grzegorzewski spolszczył powieści Wowczyka. — Dla zbierania przedpłaty na dzieło pamiątkowe naszego wydania nie używaliśmy dotąd żadnych kwitów prenumeracyjnych; z nadesłanéj nam bowiem przedpłaty kwitowaliśmy i w naszym piśmie i w Dzienniku poznańskim, a w ostatnich czasach nawet w Kurjerze tutejszym.

Anonimowi X. X. w Krakowie. Odkąd to młode panienki pisują śmiałe anonimy i śmielsze jeszcze wydają sądy o rzeczach, których w całości nie znają? — Redaktorzy mają zwykle bystrą pamięć i poznają pismo choćby je tylko raz widzieli — pismo pani mieliśmy już raz w naszym biórze — wszak prawda?

Odpowiedzialny redaktor i nakładca Edmund Callier. — Czcionkami drukarni Ludwika Merzbacha w Poznaniu. W komisie M. Leitgebra i Sp. w Poznaniu.